

Edmund Jankowski

"Ardelion" Elizy Orzeszkowej (1881-1883)

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 40, 306-365

1952

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

„ARDELION“ ELIZY ORZESZKOWEJ (1881 — 1883)

Gabinet Filologiczny „Korbutianum“ przy Towarzystwie Naukowym Warszawskim wśród zbiorów swoich posiada znaczną część puścizny rękopiśmiennej Elizy Orzeszkowej. Rękopisy te, pochodzące z dawnych zbiorów Towarzystwa im. Elizy Orzeszkowej w Warszawie, porządkuje się obecnie i inwentaryzuje pod kierunkiem prof. dra Juliana Krzyżanowskiego. Wśród materiałów dotychczas nie publikowanych znajduje się tam m. in. nie drukowana¹ i nie skończona zresztą powieść Elizy Orzeszkowej „Ardelion“ (Rkps. nr 13, Archiwum Elizy Orzeszkowej — Korbutianum).

Na rękopis „Ardeliona“ zwrócił uwagę w 1937 r. w związku z wydaniem „Listów“ Orzeszkowej ich wydawca, Ludwik Brunon Świderski².

Zarówno w listach ogłoszonych w całości, jak i we fragmentach zamieszczonych w przypiskach znajdujemy tam wiele interesujących materiałów związanych z powstawaniem tej powieści, tym cenniejszych, że wiele z nich w czasie wojny zginęło.

Warto je tu w głównych punktach przypomnieć i uzupełnić nieco innymi materiałami z Archiwum Orzeszkowej.

„Ardelion“ — to powieść Orzeszkowej z czasów rzymskich.

Starożytność zainteresowała Orzeszkową w tym okresie, gdy jeszcze w rodzinnej Milkowszczyźnie i Grodnie drogą samouctwa uzupełniała swe wykształcenie³, szczególnie jednak praca nad kwestią kobiecą i zwłaszcza nad studium „O kobietach“ (1870—1879) zetknęła autorkę „Ardeliona“ z dziełami takich pisarzy i ówczesnych znawców

¹ Poza fragmentami nie zachowanymi w rękopisie, jak np. *Via Appia* w *Kłosach* r. 1888 nr 1226. Wydaje się niewątpliwe, że jest to fragment *Ardeliona*.

² Eliza Orzeszkowa *Listy*, t. I. *Dwugłoty*, Warszawa — Grodno r. 1937, opracował L. B. Świderski, zwłaszcza s. 476—7.

³ W liście do red. Józefa Sikorskiego donosi Orzeszkowa w r. 1868, że uczy się łaciny. (Orzeszkowa do J. Sikorskiego, list z 24/III [1868] r. Arch. Orzeszkowej). W r. 1871 zamawia u Gebethnera i Wolffa *Historię Rzymską* T. Mommsena, o której mogła czytać częste notatki w *Gazecie Polskiej* (Orzeszkowa do Gebethnera i Wolffa, list z 3/II 1871). Obszerne omówienie tego dzieła pióra K. Plebańskiego zamieściła *Gazeta Polska* w nr 279—282 r. 1867 i w nr 9 r. 1868. W tym zaś czasie Orzeszkowa była pilną czytelniczką *Gazety Polskiej* i umieszczała w niej swe prace. W r. 1867 np. *Rozstajne drogi* w nr 5—9 i *Ostatnią miłość* w nr 143—157 i 164—182, w r. 1868 tłumaczenie komedii E. Legouvé *Miss Zuzanna* w nr 21—28.

świata starożytnego, jak E. Gibbon (przekład francuski „The History of the decline and fall of the Roman Empire“ 1782—88), A. Maury („la Magie et l’Astrologie dans l’Antiquité et au Moyen Age“ r. 1860). T. Mommsen („Historia Rzymu“, przekład polski z r. 1867), F. Laurent („Études sur l’Histoire de l’Humanité“, r. 1870), K. Bader („la Femme romaine“ 1887) i in.⁴

Że były to gruntowniejsze studia, a nie tylko powierzchowna lektura, świadczyć mogą fragmenty notatek z r. 1879—80, zachowanych w Archiwum Orzeszkowej (rkps. nr 239) z dzieł K. Bader i F. Schlossera.

Właściwe jednak studia nad starożytnością przeprowadziła Orzeszkowa wtedy, gdy z początkowego zainteresowania sprawami rzymskimi wylaniać się zaczęła koncepcja „rzymskiej powieści“. Stało się to prawdopodobnie w r. 1881, skoro w grudniu tegoż roku L. Méyet zapewniał „na zapas“ miejsce dla powieści w „Kłosach“⁵, a w lutym 1882 r. M. Bałucki mógł zapytywać Orzeszkową: „Czy powieść z rzymskich czasów już na ukończeniu?“⁶. Wtedy to rozpoczęła autorka systematycznie rozczytywać się w utworach starożytnych (korzystając przede wszystkim z przekładów francuskich), m. in. w Herodocie⁷, Senece⁸, Marcjalisie⁹, Stacjuszu⁹, Tacycie¹⁰, Juwenalisie¹¹, Pliniuszu¹², Swetoniuszu¹³, Marku Aureliusz^{13a} — niewątpliwie w Plutarchu¹⁴ i Petroniuszu — oraz w dalszych opracowaniach np. L. Friedländera¹⁵ („Darstellungen aus der Sittengeschichte Roms“ 1862—71), E. Guhla i W. Konera¹⁶ („Das Leben der Griechen und Römer nach Antiken Bildwerken dargestellt“ 1860—64). Wyzyskuje też Orzeszkowa każdą okazję, aby dotrzeć do nieznanych źródeł lub zdobyć nową wskazówkę bibliograficzną. Dowiedziawszy się więc, że pierwsza kobieta — doktor filozofii uniwersytetu w Zurychu, Stefania Arnd-Wolicka, broniła tezy z zakresu historii starożytnej, Orzeszkowa nawiązuje z nią kontakt, by w rezultacie

⁴ Por. *Listy* II/1 zwłaszcza s. 16—17 i 282—284. Rkps. 257 Arch. E. O.

⁵ Méyet do Orzeszkowej, list z 15. XII. 1881. Arch. E. Orzeszkowej.

⁶ *Listy* I, s. 476 przypisek, list z 23. II. 1882 r.

⁷ Karłowicz do Orzeszkowej, list z 5. XII. 1882, Archiwum E. Orzeszkowej.

⁸ *Listy* II/1, s. 37.

⁹ O dobrym zorientowaniu w twórczości Marcjalisa i Stacjusza świadczy sam tekst powieści, w której obydwoj poeci są bohaterami. O znajomości autorów starożytnych por. Tadeusza Sinki *Hellada i Roma w Polsce*, Lwów 1933, s. 231—240.

¹⁰ *Listy* I, s. 476, przypisek.

¹¹ *Listy* II/1, s. 37.

¹² *Listy* II/1, s. 25.

¹³ Por. rkps. 257, Archiwum E. Orzeszkowej oraz *Listy* II/1, s. 37.

^{13a} Orzeszkowa do Gebethnera i Wolffa, list z 10. IX. 1877 r. (Archiwum Orzeszkowej).

¹⁴ O czytaniu Plutarcha w okresie pobytu w Milkowszczyźnie zob. list Orzeszkowej do A. Wodzińskiego z 27. VII. 1896 (Bibl. Warsz. 1910, nr 279, t. III, s. 14).

¹⁵ Por. *Listy* II/1, s. 25.

¹⁶ Por. *Listy* II/1, s. 39.

zdobyć informację o dziele A. Stahra „Römische Kaiserfrauen“ (1870)¹⁷, a księgarnię J. J. Okońskiego zatrudnia wyszukaniem książki „Hellas und Rom“ (1879) J. Falkego¹⁸.

Jak wskazuje fragment rękopisu nr 257 Archiwum Orzeszkowej, gromadzone materiały starała się autorka uporządkować wg działów takich, jak: imiona, obrzędy pogrzebowe, ulice itp.

Zamiarem Orzeszkowej było jednak nie tylko wskrzeszenie artystycznej wizji Rzymu i jego ludzi — ale również przeprowadzenie pewnej tezy ideologicznej, wyrosłej z ideowego zbliżenia do pozytywizmu i jego klasyków, zwłaszcza Buckle'a¹⁹.

Umacniana jeszcze w swym nastawieniu przez ożywioną w latach 1879—1883 korespondencję z T. Jeżem i J. Karłowiczem postanowiła Orzeszkowa w „Ardelionie“ udowodnić — jak wyznaje to w liście do M. Bałuckiego²⁰ — „że świat i wszystko, co na nim pięknym i dobrym jest, nie zaczęło się od galilejskich rybaków“.

W miarę posuwania się pracy piękno świata starożytnego pociągało autorkę coraz bardziej. „Tak mię do tego klasycznego świata siła jakaś nieprzeparta ciągnie, że wracam doń...“ — pisze Orzeszkowa do J. Karłowicza²¹ — „...któż mi odbierze rozkosz, jakiej doświadczam uciekając z małego Grodna do wielkiego Rzymu“.

Mimo tych radości praca nad „Ardelionem“ rozwijała się przez cały czas w okolicznościach wielce niepomyślnych.

Przed wszystkim wiosna r. 1882 przyniosła Orzeszkowej klęskę moralną i materialną w związku z zamknięciem przez władze rosyjskie księgarni i wydawnictwa „E. Orzeszkowa i S-ka“ w Wilnie²².

W odległych czasach swej powieści chciała wprowadzić autorka zapomnieć o rzeczywistości, lecz kłopoty przeróżne pozwalają jej zabrać się do pisania na dobre dopiero w lecie 1882, podczas wakacji spędzonych w Miniewiczach²³. Lecz i tam praca nie posuwała się w sposób zadawalający w pełni Orzeszkową. Zapał łączył się w niej ze zwątpieniem, czy powieść nie jest „nudna“, „przewlekła“, tym więcej, że wymaga ona dodatkowych studiów²⁴. Mimo to w czasie całych wakacji r. 1882 pisała Orzeszkowa powieść „bardzo zawzięcie“, wykańczając „połowę“ tj. pięć rozdziałów. Dalsze jej pisanie w Miniewiczach uniemożliwiła bolesna newralgia ręki, więc też powieść miała być skończona zimą w Grodnie²⁵.

¹⁷ List S. Arnd-Wolickiej do Orzeszkowej z 13. VI. 1882 w Archiwum Elizy Orzeszkowej.

¹⁸ Archiwum E. Orzeszkowej, list z 17. IX. 1881 r.

¹⁹ O wpływie Buckle'a por. np. Mieczysława Romankówna *Na nowych drogach. Studia o Elizie Orzeszkowej*, Kraków, 1948, passim, zwłaszcza s. 49.

²⁰ Listy I, s. 224, list z 2. II. 1883 r.

²¹ Listy II/1, s. 36—37, list z 29. II. 1883 r.

²² Por. np. Stefan Rosiak *Księgarnia „E. Orzeszkowa i S-ka“ w Wilnie 1879—1882*, Wilno 1938, s. 26 i nast.

²³ Listy II/1, s. 23—25.

²⁴ Listy II/1, s. 24—25, list do J. Karłowicza z 22. VIII. 1882 r.

²⁵ Listy I, s. 214 i II/1, s. 24—29.

Przed wyjazdem do Grodna pierwszy rozdział powieści czytała autorka J. Karłowiczowi²⁶, który po wyjeździe do Heidelbergu będzie zapytywać o losy „Ardeliona“ i w liście nazwie powieść „piękną“²⁷.

Tymczasem zima 1882—83 r. przyniosła Orzeszkowej inny temat, bardziej pociągający i aktualny, bo dotyczący palącej wtedy sprawy żydowskiej, a osnuty zresztą na tle starożytnym, z którym nie łatwo było się autorce rozstać²⁸. I rzecz znamienne: nowa powieść, „Mirtala“, powstała w ciągu 3 miesięcy, od lutego do połowy kwietnia 1883 r.²⁹. „Ardelion“ wprawdzie miał być tylko odłożony do lata, miał „spać do czasu“³⁰, ale już w lutym 1883 r. wątpi Orzeszkowa, czy i kiedy powieść swą skończy³¹.

W istocie powieść pozostała nieskończona, za mniej więcej wykończone można uważać 4 rozdziały przepisane przez sekretarkę Orzeszkowej, Marię Siemaszko (Obrębską)³², lecz i w nich drobne luki i omyłki oczekiwały jeszcze korekty autorskiej. Piąty rozdział pozostał tylko w podkreślonym i nieuporządkowanym ostatecznie autografie, poza tym są tylko drobne fragmenty (rkps. nr 13) i może szkic planu 6, 7 i 8 (ostatniego) rozdziału w ołówkowych skrótach, dokonany ręką Orzeszkowej, a zachowany wśród innych notatek ze świata starożytnego (rkps. nr 257, Archiwum E. Orzeszkowej).

W r. 1885 zapowiada wprawdzie autorka z energią, że jeśli jeszcze kilka lat żyć będzie, to nie tylko skończy „Ardeliona“, ale bodaj całą trylogię rzymską opracuje — ale pozostało to już tylko w sferze planów³³. Zresztą i krytycy i przyjaciele (np. Asnyk, Morzkowska, Méyet³⁴) odradzali Orzeszkowej pisanie powieści historycznych twierdząc, że nie odpowiada to ani talentowi pisarki, ani potrzebom czasu.

Zniechęcona autorka, która jeszcze w czasie pracy nad „Ardelionem“ wyznała, że Rzymianie udają jej się „gorzej“³⁵, ostatecznie powieści poniechała, zwłaszcza że w pożarze Grodna (w maju 1885 r.) „uleciała z wiatrem“ znaczna część rzymskiej powieści (zapewne autografu — jak donosi o tym Orzeszkowa w liście do E. Piltza z 20. VI. 85 r.).

²⁶ Listy II/1, s. 27. Orzeszkowa do Karłowicza z 29. II. 1883.

²⁷ Karłowicz do Orzeszkowej list z 5. XII. — 23. XI. 1882 r. Arch. E. Orzeszkowej.

²⁸ Por. notę bibliograficzną do *Mirtali* wyd. PAL r. 1937, t. X, s. 231 i 235.

²⁹ o. c., s. 233.

³⁰ Listy I, s. 476 przypisek (Orzeszkowa do Méyeta).

³¹ Listy I, s. 224, Orzeszkowa do M. Bałuckiego z 2. II. 1883.

³² Ze kopistką była Siemaszkówna, stwierdzić można przez porównanie kopii *Ardeliona* z listami Siemaszkówny, zachowanymi w Arch. E. Orzeszkowej. Por. również Listy I, s. 477.

³³ Listy II/1, s. 65. Orzeszkowa do Karłowicza, list z 22. XII. 1844 — 9. I. 1885 r.

³⁴ Listy II/1, s. 30 i w Arch. E. Orzeszkowej.

³⁵ Listy I, s. 477 przypisek.

Praca nad „Ardelionem“ nie była jednak daremna, bowiem materiały zgromadzone dla pisania tej powieści wyzyskała autorka w znacznej części przy „Mirtali“.

Dla badacza literatury będzie rzeczą bardzo interesującą prześledzić stopień zależności obydwu powieści, tym więcej, że w „Mirtali“ spotykamy się nie tylko z niektórymi bohaterami „Ardeliona“ (Domicjan, Muzoniusz, Lamia), ale stwierdzić można i wyraźne zależności stylistyczne³⁶.

Dla pełnego więc obrazu twórczości Orzeszkowej, jak i dla wniknięcia w tajemnice jej „warsztatu artystycznego“ ogłoszenie przynajmniej fragmentów „Ardeliona“ wydaje się całkowicie uzasadnione.

Akcja powieści toczy się w I wieku po Chrystusie za rządów Domicjana — i przedstawiać miała dzieje spisku zorganizowanego przez Antoniusza Saturnina przeciw tyranii cezara. Jednym z wykonawców tego spisku stał się Juniusz Arulenus Rusticus, młody Rzymianin, którego na początku powieści poznajemy jako „króla Ardelionów“ — czyli złotej młodzieży rzymskiej³⁷.

W tragiczny żywot Juniusza, który miał zginąć pod koniec powieści, wplata się nieszczęśliwa miłość do Nerei Metelli, żony młodego Etruskusa. Nerea jest uczestniczką spisku i pod jej to głównie wpływem lekkomyślny „ardelion“ stanie się ofiarnym patriotą.

Rękopis zawierający „Ardeliona“ składa się z 223 kart sfoliowanych, w składkach (po 8,24 str. i innych) i pojedynczych kartach, o formacie 22,5 × 18 i mniej, na papierze nieliniowanym.

Na K. 1 ręką M. Siemaszkówny napis: „№ 71 „Ardelion“, powieść El. Orzeszkowej (nieskończona) kopia“. Pieczęć T-wa im. Elizy Orzeszkowej w Warszawie znajduje się na K. 1 i K. 70.

Rękopis składa się z dwóch części, które już w zbiorach T-wa E. Orzeszkowej stanowiły całość, przy czym kopia umieszczona była przed autografem. K. 1 — K. 143 — to kopia dokonana ręką Siemaszkówny. K. 151 — K. 220 — autograf Elizy Orzeszkowej. Inne karty są nie zapisane.

³⁶ Równie interesujące może być zestawienie niektórych scen i postaci *Ardeliona* z *Quo vadis* np. uczyty u Polli Diodory i Nerona, osoby Menogenesa i Chilona itp.

³⁷ Charakterystykę „ardeliona“ spotykamy w literaturze rzymskiej, np. u Fedrusa i Marcjalisa (np. „Est ardelionum quaedam Romae natio, Trepide concursans, occupata in otio, Gratis anhelans, multo agendo nil agens, Sibi molestae et aliis odiosissima“). *Phaedri Fabulae Aesopiae* II—5. Lipsk, Teubner, 1913, s. 15—16. Por. również M. Valerii Martialis *Epigrammaton libri* II—7. Lipsk, Teubner, 1896, s. 42).

Układ szczegółowy uwzględniający także liczbowanie stron lub kart kopistki i autorki jest następujący:

Kopia:

Fol.	Zawartość	Liczbowanie kopistki
K. 1 — 60	Rozdział pierwszy	s. 1 — 117
K. 60 — 99	Rozdział drugi	s. 118 — 196
K. 100 — 107	Fragm. rozdziału trzeciego	K. 1 — 8[!]
K. 107 — 143	Rozdział czwarty	K. 8 — 44
K. 144 — 150	Nie zapisane	nlb.

Autograf:

Fol.	Zawartość	Liczbowanie autorki
K. 151	Fragm. rozdziału trzeciego (inny niż w kopii)	s. 241 — 242
K. 152 — 185	Części rozdziału czwartego z licznymi przekreśleniami i wariantami; w tym K. 152 — 174 odpowiada K. 107 — 127 kopii.	s. 243 — 263, 262 [!] — 286, 303 — 324
K. 185 — 218	Fragm. rozdziału piątego	s. 324 — 364, 1 nlb, 365 — 386, 385 [!] — 388.
K. 218 — 220	Fragm.	s. 379 [!] — 390.
K. 221 — 223	Nie zapisane	nlb.

Z zestawienia powyższego widać, że kopia mimo pewnych braków stanowi zwartą całość, autograf zaś zawiera tylko fragmenty, częstokroć o charakterze wariantowym. Ten sam tekst w kopii i autografie znajdujemy tylko w obrębie 40 stron rozdziału czwartego.

Pismo kopistki jest czytelne i dość staranne, a miejsca, które można było sprawdzić z autografem, wykazują minimalną ilość błędów i opuszczeń, autograf zaś pełen jest przekreśleń i poprawek³⁸.

Wypadło więc tu posłużyć się przede wszystkim kopią.

Zanim zaś „Ardelion“ doczeka się opracowania i przedruku w całości, jaką stanowi rkps nr 13 Archiwum Orzeszkowej, trzeba tu było zdecydować się na obszerniejsze fragmenty stanowiące tematyczną całość.

³⁸ Ponieważ w tym okresie kopistka stale przebywała przy Orzeszkowej, traktowana przez nią przez cały czas jako jedyna przyjaciółka, pomocnica i powiernica, — można więc przypuścić, że porozumiewała się z autorką w sprawie powieści w czasie przepisywania.

Fragmenty te wydawca zatytułował: 1. Rzym za Domicjana. 2. Wyścigi kwadryg w cyrku. 3. Uczta w domu rzymskim. 4. W pałacu Cezara.

We fragmentach tych opuszczono, zaznaczając to w odpowiednim miejscu, dwie partie tekstu wprowadzające postaci epizodyczne.

Tekst opracowano wg (nieoficjalnych) „Zasad wydawania tekstów, uchwalonych przez komisję wydawniczą Komitetu Ortograficznego PAU 10 i 11 października 1938“, punkty A, D.

Tak więc np. zachowano występujące stale lub sporadycznie właściwości fonetyczne i gramatyczne — jak „któs“, „domóstwo“, „te wejście“, „spójrzenie“, „pjano“ itp.³⁹. Pisownię zmodernizowano wg zasad z r. 1936, zachowując jednak niejednorodną formę i pisownię słów pochodzenia łacińskiego i greckiego, więc Tuliolusz i Tuliolus, Scorpis i Skorpis, chlamyda i chlamida, tablinium i tablinum, Klaudina obok Klaudyna; pozostała też Dianna, Kolliseum itp.

W interpunkcji starano się poprawiać tylko błędy i niejasności.

Nie zachowano podkreśleń stosowanych przez autorkę i kopistkę niekonsekwentnie przy takich wyrazach jak rostra, spina itp.

Wszystkie dodatki od wydawcy są ujęte w kwadratowe nawiasy i w ważniejszych wypadkach skomentowane; wykrzyknika [!] starano się nie nadużywać stosując go głównie do niejasności składniowych.

Edmund Jankowski

styczeń 1950

E l i z a O r z e s z k o w a

„ARDELION“

[RZYM ZA DOMICJANA]

[Początek rozdziału pierwszego, K. 1—12]

Rzym znajdował się w 9-m stuleciu istnienia swego. Drugie już stulecie upływać zaczęło od dnia, w którym na marmurowej posadzce Kurii Hostylii, zbroczonej krwią Cezara, stanęło imperatorskie krzesło Oktawiusza, owe krzesło po raz pierwszy od upadku starodawnej królewskości wysoko wzniesione nad kurulne stołki ojców narodu, a potężne i twarde, bo podtrzymywane przebiegłą dłońią tego, którego społeczeńsi obdarzyli wspaniałym imieniem Augusta, a potomni nazwali mistrzem komediantów.

Teraz nad państwem olbrzymim, w granicach którego płynęły Tamiza i Eufrat, Nil i Ren, Sekwana i Dunaj, panował ostatni z rodu Flawiuszów, Domicjan, w swawolnych piosnkach ulicznego tłumu zwany łysym Neronem, a w drżących, tajemniczych, lecz niemniej nienawistnych i dumnych szeptach patrycjuszów otrzymujący miano — ulicznika.

³⁹ Jednak nie „tiunika“ i „Titius“, które to formy spotyka się, niekonsekwentnie zresztą, tylko w kopii.

Ulicznikiem był on istotnie w tej chłopięcej porze życia swego, gdy ojciec jego, Wespazjan, z ulubionym synem swym, Tytusem, wiedli na Dalekim Wschodzie zwycięskie wojny, on zaś ubogi tak, że mu na czarę srebrną nie stawało, opuszczony tak, że w niebezpieczeństwie dach mizernego plebejusza chronić go musiał, z podłą gawiedzią uliczną zmieszany dzielił niskie a burzliwe uciechy gawiedzi tej, nimi słodząc gorycz uraz i jad zazdrości, które weń obojętność rodzica a świetne losy brata wlewały. Ubogim, zaniedbanym, wyuzdanym i zawistnym chłopięciem będąc niegdyś, teraz z Palatyńskiego wzgórza świata panując stał się drugim Neronem... Imię to mówiło już społecznym wszystko, co na wieki mówić miało potomnym, mówiło im ono, że po krótkim ukojeniu, doświadczonym pod rządami dobrodusznego żołdaka Wespazjana i „słodczą ludzkości“ zwanego Tytusa, wielka groza lat przedtem minionych znowu na świat zleciała. Mówiło im ono, że groza ta niosła ze sobą strzały godzące najcelniej w głowy najwyższe, głazy przytłaczające najciężej najognistsze pierśi, ciszę zaklinającą w głuche milczenie najwymowniejsze usta. Była to groza, z której jakby z amfory grobowej lały się na świat trucizny takie, że zaledwie dorównać by im mogły złowieszcze dary niegdyś niby na świat wysypane z bajecznej puszkii Pandory.

Jednak poranek dnia wrześnieowego jednego z pierwszych dni jesieni pogodny, gorący, lecz już nie upalny wschodząc nad Rzymem oświecił obraz tak wspaniały i zarazem tak wesoły, że podobnego mu oczy ludzkie nie oglądały nigdy przedtem i nigdy już potem oglądać nie miały.

Dawno już minęła pora, w której na siedmiu wzgórzach i w rozdzielających je dolinach niskie, ciemne i ciasne domóstwa tłumnie i bezładnie cisnęły się ku sobie u brzegów krętych i wąskich ulic, dokoła rynków ciasnych i dusznych. Pora ta, w której pomiędzy domóstwem potomka najpotężniejszej i najstarodawniejszej rodziny a siedliskiem żarliwie walczącego z nim o prawa i przywileje plebejusza zaledwie dostrzegalne zachodziły różnice, w której nieliczne tylko świątynie bóstwom krajowym wzniesione i nieliczne gmachy, poświęcone publicznym sprawom i zabawom, górowały nad ciemnym i niskim tłumem dachów osłaniających domowe ogniska — minęła już dawno. Żelazni twórcy i obrońcy Rzeczypospolitej, zarówno Scypionowie i Katony, ozdoby i chluby arystokracji, jak Grachowie i Metelusy, rycerze i poplecznicy ludu, mężowie o stalowej pierśi, grubej dłoni i ogorziałych czołach, nie poznaliby już dziś Romy swej najdroższej, dla której i w której wytoczyli tyle krwi swej, odnieśli tyle zwycięstw i wyleli tyle potoków wiekopomnej wymowy. Państwo przebyło już pracowitą i krwawą epokę swej olbrzymiej formacji. Z długich wojen punickich, z okrutnych walk domowych, z pożaru błyskawic krzesanego orężem Cezarów i Germaników wyszło ono rozległe jak połowa znanego świata, groźne tak, że wszystko przed nim korzyło się i milkło, nasycone jakby, znużone może, z kulą niewoli w sercu, lecz całe okryte płaszczem niezmiernego bogactwa i niezmaconego pokoju. Pośród szerokiej tej rozległości, pod osłoną rozlewanej dokoła grozy

i przez nią utrwalonego pokoju stolica państwa, miasto ośmiowiekowe już, rozkwitło nagle jak diamentowy węzeł, w którym topiły się ze wszystkich stron świata tu przybiegające szerokie i tłumnie zaludnione drogi, — jak kwiat bajeczny, na wzrost i przyozdobienie którego składały się wszystkie piękności i bogactwa świata, od arcydzieł sztuki greckiej do hiszpańskich kopalni srebra i złota, od szmaragdów gór indyjskich i pereł Spokojnego Oceanu, do marmurów libijskich, babilońskich tkanin, arabskich wonności, szkielek i kryształów aleksandryjskich, róż nad brzegami Nilu wiecznie kwitnących, cedrów, mahoniów i palisandrów Wschodu do skalnych bazaltów, porfirów, onyksów, górskich wód i płynących tu obficie podziemnymi torami, nadmorskich ptaków i zwierząt pustyni. Giętka, zręczna, dumie i zmysłom podwładnych schlebiać umiejąca ręka Augusta już przedziewać zaczęła Rzym z dawnej jego drewnianej w marmurową szatę. Lecz kiedy pod rządami i — jak powiadano — na rozkaz Nerona morze ognia zamieniło dwie trzecie części miasta w dymiące próchno, po opadnięciu dymu pożogi i gdy umilkły wzniecone przez nią jęki i przekleństwa, z szybkością, o jakiej dotąd baśnie tylko gwarzyły, z potęgą, jaką dotąd bogowie tylko zdawali się dzierżyć, na wzgórzach i z dolin wyrósł gród nowy...

Gdyby ktokolwiek teraz spod obłoków na gród ten spoglądał, spostrzegłby zapewne naprzód dwie najszersze i najdłuższe jego ulice, które ścieżką wysoką, Alta semita, i drogą szeroką, Via lata, zwane, z Wiminalskiego wzgórza łagodnie spływając, prostą linią przerzynały dolinę i przywodziły oko ku największemu z placów rzymskich, noszącemu miano Marsowego Pola. Tu niegdyś niby grzmoty gwarzyły burzliwe zgromadzenia ludowe i zbrojne zastępy przed wyruszeniem na pola bitew stawały w szyki zwarte, milczące, posłuszne. Teraz u stóp pałaców, które w prostych szeregach zbiegały z Wiminalskiego wzgórza naprzeciw białymi gmachami okrytej wyniosłości Janikulu, z trzech stron Tybrem objęte, puszyste trawniki rozkładały się w cieniu mirtowych i platanowych gajów i alei, okrężały długie galerie czyli portyki, których stropy otoczone rzeźbionymi fryzami wspierały się na nieścignionych okiem szeregach korynckich kolum[n]. Dokoła mirtów i platanów pośród miejsc jasnych, po których kiedy niekiedy zaigrał chyba lekki cień koronkowego wierzchołka kolumny lub fauna śmiejącego się na fryzie portyku, z amfor podnoszonych dłońmi rozkosznie wygiętych nereid, z konch trytonów, z paszcz lwów i delfinów wysoko w przezroczyście powietrze biły słupy i snopy kryształowej wody. Źródło te rzeźwości i blasków otaczały i ku nim, ku cienistym gajom, ku wesołym w napowietrzny niby taniec unoszonym portykom zwracały się w postawach rozlicznych: dumnych, łagodnych, zadumanych i lubieżnych, niezliczone posągi, istny lud białych i brązowych postaci w nieruchomości swej życiem namiętym kipiących. Tybr płynął szeroko i cicho, za Tybrem Janikulskie wzgórze ze ścianami i kopułami swych gmachów odchylało się pod skraj firmamentu, z Wiminalu dwoma wielkimi ulicami łały się dwie rzeki krzykliwego tłumy, platany i mirty

szumiały, aleje kolumn tańczyły w powietrzu, fontanny rzucały pod niebo smugi pereł i tęcz, posągi dumały, kochały, groziły, śmiały się i złorzeczyły. Takim był plac Marsowy.

Lecz wesola piękność jego z tysiąca drobnych szczegółów złożona malała przy majestacie tych dzielnic Rzymu, wśród których z wyniosłą pychą wydymały się brązem okryte kopuły dwu połączonych ze sobą świątyń Wenery i Westy, olbrzymiego Panteonu, do którego od lat już wielu niby do środka świata zbiegały się wszystkie bóstwa ludzkości; bazyliki o trzech długich nawach, w których tysiączne kupczące tłumy swobodnie obracać się mogły.

Gmachy te stanowiły szczególną dumę rzymskich mistrzów budowniczej sztuki, albowiem posiadały głębokie sklepienia i kopuły potężne, jakich nie znała prawie mistrzyni sztuk wszelkich Grecja, a jakich pierwociny przejęli oni wraz z etruską tradycją Italii. Dalej znówu potężne kwadraty portyków, przerżnięte mnóstwem kaplic i bram, zjeżone grupami posągów, z których świadome oko wyczytywało historie bóstw i nieba, zagarniały wielką przestrzeń rozdzielającą świat śmiertelnych z dwoma sąsiednimi sobie przybytkami Jowisza i Junony. Gdzie indziej łaźnie publiczne z szeregami sal swych, sadzawkami do pływania, portykami dla przechadzek i dziedzińcami dość wielkimi, aby w nich gimnastyczne i rycerskie zabawy rzymskiej młodzieży pomieścić się mogły, drobnymi acz niesłychanie wykwintnymi cackami wydawały się wobec teatrów, mogących objąć w półkolistych swych ścianach wiele dziesiątków tysięcy ludzi. Teatry te, cienistymi krużgankami i ogrodami rozszerzone, z kolei karłały wobec kolistych, w tył odgiętych, w górze na oścież błękitom nieba otwartych ścian amfiteatrów, ścian, które niby zaokrąglone ramiona olbrzymów setki już tysięcy piersi ludzkich ogarnąć mogły. Wszystkie te jednak dzieła sztuki, pracy i bogactwa, wszystkie te źródła religijnych i obywatelskich natchnień albo serca i zmysły upajających rozkoszy niby ku apogeum swemu wzbijały się ku Kapitolińskiemu wzgórzcu i ku temu mianowicie jego miejscu, gdzie istniał rynek uświęcony wszystkimi świętościami wielkiej przeszłości, rynek obywateli rzymskich, owe Forum Romanum, które było świadkiem długiego szeregu scen bohaterskich, tragicznych, zwycięskich, a przy którym dotąd jeszcze trwała w świątyni Kapitolińskiego Jowisza dawna potęga narodowej religii, a w Kuriach Hostilii i Julii, miejscach zasiadania Senatu, chronił się trwożny i blady cień dawnej wolności Rzymu. Tu najbystrzejsze oko błądzić i niby w czarodziejskim odmiecie topić się musiało w nieskończonym mnóstwie kolumn, które coraz wyższymi i coraz lżejszymi szeregami wspinając się ku górze niby lud smukłych i strojnych służebnic podtrzymywały, stroiły, świetnymi kołami obiegały ciężką i bogatą świątynię Saturna, w posępnym wnętrzu swym chroniącą skarb państwa i archiwa państwowe, groźny i potężny przybytek Jowisza piorunującego, wykwintne świątynie Zgody, Junony i Dioskurów. Tu, wieńcami kamiennych kwiatów opleciony, wdzięcznymi, lekkimi liniami falować zdawał się w powietrzu łuk tryumfalny Tytusa, a naprzeciw tego świadka orężnej chwały wznoszący się

siła się prześwięta pamiątka obywatelskiego męstwa i krasomówczej mądrości praojców: mównica, rostra, wysoko na marmurowym podnóżu swym wzniesiona, z której tłumy zalegające ten zborny punkt rzymskiego ludu wydawać się musiały Grachusom, Katonom i Cyce-ronom jako morze pstre i ruchliwe, nisko, nisko pod nimi szmerząc, a panowaniu wielkich dusz ich i głosów ognistych poddane. Tu jeszcze pośród wysmukłych i w niebo bijących słupów, na wierzchołkach których proste i nakazujące stały posągi zmarłych cesarzy, spiętrzył się od niedawna monolit kamienny tak ciężki, jak gdyby sobą ziemię miał przytłoczyć, pośród niego zaś spiżowy koń, odlany z zadziwiają-ącą wiernością naturze, niósł na dumnym swym grzbiecie zbrojnego rycerza rzymskiego, a kopytami deptał Ren wijący się w kształtach germańskiego olbrzyma. Rycerzem tym był dzisiejszy władca Rzymu, Domicjan. Spiżowe oblicze jego zdawało się chmurnie i zawistnie spoglądać na łuk Tytusa, jakby mu zwyciężona i pod kopytami konia jego wijąca się Germania nie dosyć płaciła za rycerską sławę jego brata. Zresztą, gdziekolwiek zwróciło się tu oko, spotykało wszędzie albo tajemnicze spójrzzenia kamiennych sfinksów stróżujących u wrót i krużganków, albo faliste grzywy lwów marmurowych i zwinięte skrzydła orłów siedzących nad puszczonej na wiatr sztandarami, wszędzie cudne jakieś postacie męskie, niewieście, dziecięce, rzeźbio-
ne i malowane, z dachów ku dołowi spuszczały festony śnieżnych gir-land lub wyciągając ku sobie ramiona i biorąc się w taniec poważny, rytmiczny oplatały gzemsy świętyń i kurii, wspinały się na ściany, spływały w dół po kolumnach, napelniały przestrzeń upajającym wi-rem barw harmonijnych i doskonałych kształtów. Z łona tego najpo-ważniejszego i najbogatszego spomiędzy wielu rynków rzymskich wybiegało ulic wiele, dość szerokich jeszcze, aby po obu brzegach ich wznosić się i sklepieniami liniami falować mogły nieprzerwane szeregi arkad, mieszczących w sobie na sprzedaż przeznaczone towary, — dalej zaś, daleko od Marsowego Pola i od Forum Romanum, na wzgórzach Kwirynalskim, Awentyńskim, Watykańskim, Eskwiliń-
skim i w rozdzielających je dolinach domy wysokie o 3-ch do pięciu pięt, coraz ściślej, skąpiej cisnęły się do siebie, a ulice coraz węższe, krótsze, krętsze, ciasnymi rynkami rozdzielane, plątały się w węzły, zda się, nierozwikłane, w coraz ciemniejszy, zawilszy labirynt. Labi-rynt ten obłędny, duszny, wiecznie wysokimi murami przyciemniony, zajmował przestrzeń nie mniejszą od tej, na której panowały prze-strzenie rozległe, jasne i pełne cudów majestatu i piękności. Lecz potem znowu olbrzym rwał gwałtownie 50-ciowiorstowe swe granice i rzucał w świat dalszy ramiona przedmieść swych i dróg. Jak okiem zajrzeć, wszędzie wśród wzgórz, równin, pól przemienionych w win-
nice i ogrody, kupiły się w wesołe gromadki wspaniałe i skromne sie-
dliska ludzkie, pojedyncze wille, — wiejskie pałace możnych, bielają marmurami swymi spośród zieleni gajów. Z trzech zaś bram wynio-
słych wybiegały trzy drogi publiczne: Via Appia, Via Flaminia i Via Emilia, gładko ciosanym bazaltem wysłane, milowymi słupami znaczo-
ne i pomiędzy dwoma szeregami grobowych pomników, zwyciężając

wszelkie przeszkody natury i gruntu, sunęły ogromnymi, prostymi, gładkimi szlakami w trzy różne strony świata: ku Śródziemnemu Morzu, dzielącemu Italię z rajską Grecją i upalną Afryką; ku zimnej, leśnej, wiecznie pożądanej i wiecznie duchem niepodległości nurtowanej Germanii, ku zdobytym już, uległym i z losu swego zadowolonym, Galii i Hiszpanii.

Gdyby ktokolwiek teraz spod obłoków na Rzym spoglądał, widziałby, jak wschodzące słońce rozpalalo pośród brązowych kopuł oślepiające ogniska, a w kolorowych szybach, zdobiących okna publicznych gmachów, wzniecało błyski wszystkich diamentów; jak powiewem rannym chwytane, purpurowe i żółte zasłony wymykały się z okien pałaców i wzlatywać usiłowały ku płaskim dachom, pokrytym ogrodami czule pielęgnowanych, więc długo kwitnących róż i fiołków. Widziałby dna ulic i placów okryte stwardniałą, polyskującą lawą, a z dwu brzegów objęte wysokimi chodnikami z gładko ciosanych kamieni, pośród ulic tych i placów nieskończoną ilość malutkich świątynek strojnych, wyłacanych, koronką z kości słoniowej obleczonych i podobnie niezliczoną ilość szklistych sadzawek i brylantowych fontan. I jeszcze pośród obrazu tego tak wesołego, że można by go wziąć za czarodziejski, powietrzny taniec geniuszów wszystkich miejsc i stuleci, — ktoś patrzący na Rzym spod obłoków ujrzałby na szczycie Wiminalu wielką, zamkniętą budowę, której ciężar zdawał się przytłaczać wieńczone nią wzgórze. Były to koszary wojskowe, mieszczące w sobie 7 kohort nocnej straży Cezara. I druga budowa podobna monotonnym ogromem swym była w dzielnicy świetnej Drogi Szerokiej, i trzecia jeszcze, i czwarta... Tu pięć, tam siedem kohort, tu nocne, tam dzienne straże mieszczące w sobie; budowy te były liczne, wszędzie rozpychały dokoła siebie wszystko, co na przeszkodzie stać im mogło, przybliżały się nawet ku temu miejscu, w którym opuszczony, lecz od zagłady chroniony, a wielu jeszcze sercom rzymskim drogi, stał dom rodzinny Cycerona, tego, przed stu przeszło laty, nieprzejednanego wroga pierwszego z Cezarów. Budowy te, w jakichkolwiek miejscach wznoszące się, były to dłonie i ramiona Palatyńskiego wzgórza, wzgórza, na którym milcząc też, zamknięte i smutne, olśniewającą bielą ścian swych i blaskami metalowych swych dachów jaśniały pałace Imperatora.

I nie dziw wcale, że Palatyńskie wzgórze tyle ramion swych i dłoni trzymało nad grodem-olbrzymem. Półtora miliona głów ludzkich myślało i piersi ludzkich oddychało w murach jego, a była to ludność-burza, której prądów i zwichrzeń nie podobna było obrachować, jak nie podobna przewidzieć prądów i zniszczeń potężnych a rozszałałych mocy przyrody.

Dziś szczególnie ludność Rzymu, zwiększona mnóstwem przybyszów z najróżniejszych stron świata, kipiała wzdętym życiem i grzmiała wielojęzycznym gwarem, bo był to jeden z najuroczystszych i najradośniejszych dla niej dni roku, ostatni dzień odbywających się od początku września igrzysk rzymskich, Ludi Romani zwanych. Kilka już dni poprzedzających spędziła ona w teatrach

i amfiteatrach; widziała pantominy i komedie, odegrywane przez najsłynniejszych artystów wieku, — walki gladiatorów i dzikich zwierząt, konne popisy szlacheckiej młodzieży; obficie i pjanio ucztowała przy stołach; na loterii urządzonej przez Cezara wygrywała bogate sprzęty i klejnoty, rzadkie ptaki i zwierzęta, domy nawet, wsie i okręty; przypatrywała się osobliwościom zwiezionym tu ze stron wszelkich i na publiczny widok wystawionym: tańczącym słoniom, lwom zginającym kolana przed lożą Cezara, atletom budującym z ciał swych napowietrzne piramidy, skoczkom z chyżością ptasią biegającym po spadzisto wyciągniętych linach, kuglarkom greckim, których cudowne kształty wiły się po arenach z giętkością węzową, tancerkom hiszpańskim, zaprawiającym lubieżnością krew choćby najospalszą, karłom, olbrzymom, szkieletom nawet olbrzymich zwierząt jakichś, znalezionym kędyś na Wschodzie, a przed których kłami i żebrami o niewidzianej nigdy wielkości z nabożną zadumą skłaniała głowy mniemając, że są to śmiertelne resztki półbogów.

Dzisiejszy dzień jednak zaćmić miał wszystkie poprzedzające go rozkosze i wspaniałości. Jako ostatni dzień świąt uroczystych poświęconym on był zabawie, która najnamiętniej wzburzała krew w żyłach rzymskiego ludu i najsilniej grała po strunach jego fantazji. Najulubieńszą i najpożądaną zabawą tą były cyrkowe gonitwy na wozach. Do cyrku więc! do największego z cyrków Rzymu, Circu[s]⁴⁰ Maximus zwanego; które dziś z czterech stronnictw cyrkowych: białe, pasowe, zielone lub błękitne zwycięskim zostanie. A wszakże Cezar najwyższą wolą swą utworzył jeszcze stronnictwo piąte: w złoto przyodziane. Czy z ł o c i Cezara zwyciężą?... Biada temu, kto ich zwycięży!

Sam nawet Scorpus, arcywoźnica zielonych, umyślnie powstrzyma bieg sławnych koni swych, aby nie prześcignęły złotego wozu... A może patrycjusz ten, o którym słyhać, że dziś stanął na czele b i a ł y c h i cztery konie, noszące imiona czterech wiatrów, pędzić przed sobą będzie? Zakładajmy się o z ł o t y c h Cezara! O z i e l o n y c h Scorpusa! O b i a ł y c h patrycjusza! Sto asów w zakład! Sto sestercji! tysiąc! dziesięć tysięcy! Dom mój na Wiminalu za to, że Scorpus zwycięży! Okręt mój ładowny korzeniami i wonnościami Arabii za tryumf złotego Rogatusa! Kto zakłada się o patrycjusza? Nikt... milczmy. Do cyrku! do cyrku!

[WYŚCIGI KWADRYG W CYRKU]

[Fragmenty rozdziału pierwszego, K. 25—27].

W tej chwili cyrk już był przepelnionym.

Dwie setki tysięcy ludzi osiadające trybuny, łozę i ławy, a zbijające się w olbrzymią, pstrą, ruchliwą masę, wśród której płątały się i zacierały wszelkie linie i barwy — czekały jeszcze. Oczekiwanie to

⁴⁰ W rękopisie zamiast „Circus“ — „Circum“.

było pełnym gorączki tym niecierpliwszej i hałaśliwszej, że święta procesja, która wedle niezmiennego rytuału poprzedzać musiała rozpoczęcie się igrzyska, już z powolnością i powagą niezmierną przeciągnęła była dokoła areny i przed kilku minutami cyrk opuściła. Już poprzedzony sznurem liktorów biało odzianych i miecze w pękach różeg niosących pretor Rzymu, na tryumfalnym wozie stojący, fałdami laticlawy opłynięty i na berle z orłem wsparty, okrążył był arenę. Już kapłani z arcykapłanem na czele, otaczający potężne popiersie Jowisza Kapitolńskiego, i białe dziewice Westy, orszak bogini swej tworzące, i flamini, czyli ofiarnicy, w czerwonych płaszczach z mieczami u boków, i Augurowie w tajemnicze zadumanie przyobleczeni, i różne starożytne bractwa kapłańskie, nucące liturgiczne pieśni swe w starodawnym języku Latinów, przewlekli się przed oczami zgromadzenia. Za nimi i narodowymi bogami już w orszaku ciemnych twarzy i głów ogolonych, w płaszczu z czarnego marmuru przeciągnęła biała i płowowłosa Izyda Egipska, a za nią niezliczone mnóstwo bóstw greckich długo napełniało arenę czarodziejstwem poetycznych alegorii i cudownych swych kształtów. Już za długim szeregiem bogów przeszedł krótki jeszcze szereg zmarłych cesarów i z krwi ich pochodzących rycerzy. Zuchwała głowa Juliusza Cezara dumnie podniosła w niebo wieńczące ją wawrzyny. Oktawiusz-August oglądał znowu na rzymskie tłumy obliczem swym głębokim, zamkniętym i nieprzeniknionym, mężny Germanikus mijał w parze ze wspaiałą małżonką swą Agrypiną; młodzieńczy Britanikus zdawał się skarżyć na ponurą zbrodnię, której padł ofiarą; żony i córki imperatorów, mądre jak Liwia, zalotne jak Julia, czarujące jak Poppea, przypominały światu przez chwilę, że kiedyś w miejscu tym samym królowały w pełni wszechmocy swych i wdzięków [!]. Już zniknęły także z oczu zgromadzenia ciągnące wozy i niosące posągi garbate wielbłądy, wprzęgnięte w jarzmo jelenie i antylopy, woły okute w metalowe blachy, słonie ubrane w jaskrawe wstęgi, pyszne rumaki oplecione uprzężą ze złotych liści. Już w górnych piętrach cyrku umilkły fanatyczne krzyki grubych gardeł ludowych, z których każde wielbiło i wżewało wybranego przez się boga, a na niższych zniknęły sarkastyczne lub zadumane uśmiechy, z jakimi kwiat zgromadzenia przypatrywał się upostaciowaniom niebieskich i ziemskich mocarzy... Już na koniec galerię wjazdowej bramy osypał rój muzykantów, niosących bębny, trąby i najróżniejszych kształtów flety, a po chwili tryumfalny wóz swój poza cyrkiem opuściwszy z białą chustką w ręku ukazał się na galerii pretor Rzymu.

Ukazanie się to wywołało tu i owdzie śród tłumów radośne i gromkie krzyki powitania. Krzyki te zwracały się zarówno do zwiastowanej przez nie bliskiej już chwili rozpoczęcia się igrzyska, jak do osoby pretora dostojnej, bo w magistraturze Rzymu pierwsze po konsulach zajmującej miejsce; możnej, bo w jej ręku spoczywałaby wedle ustaw państwa znaczna część prawodawczej i sądowej władzy, gdyby ktokolwiek pod boskim okiem Cezara mógł cokolwiek sądzić lub stanowić; ulubionej, bo powszechnie znano dobroć serca i powagę

obyczaju Liwiusza [] ⁴¹. On jednak jakby tych krzyków nie słyszał. Prosty i nieruchomy, ze spuszczoneymi oczami i zwartymi usty stał u szczytu galerii, białą chustkę krył we faldach laticlavy, i — czekał. Na co czekał? Oto na najniższym piętrze cyrku, pośród senatorskich trybun umieszczona, purpurą, złotem i kością słoniową jaśniejącą, łoża Cezara była jeszcze pustą...

[K. 39—53].

Dwieście tysięcy ludzi jak jeden mąż nagle i jednocześnie porwało się na nogi i zagrzmiało krzykiem tak długim, że — zda się — nigdy skończyć się nie mającym. Od góry do dołu widać było tylko głowy podniesione, usta szeroko otwarte, ramiona wyciągnięte, klaszczące dłonie i roje miotanych w powietrzu chustek. Był to huragan.

— Sophos! Sophos! Zdrowia, szczęścia i wiecznego życia panu naszemu! O, wielki Cezarze! O, waleczny Germanikusie! O, boski Domicjanie! Sophos! Sophos! Sophos! Po spadzistości Palatyńskiego wzgórze ku cyrkowi spuszczał się orszak cesarski. Przodem biegł poczet najcelniejszych strzelców rzymskiego wojska, Partów półnagich, z sнопami strzał i napiętymi lukami w ramionach. Za nimi, ciężka od tarcz ogromnych, żelaznych pancerzy i wysokich hełmów, kohorta pretorianów spieszyła szerokimi krokami. Potem Numidzi gięli swe czarne, atletyczne ciała pod ciężarem wielkiej, bogatej lektyki, w której jaśniały szkarłatem płaszcze Cezara i towarzyszących mu ofiarników-flaminów, a którą z boków i z tyłu otaczały ręce konie i rosłe, białe postacie Germanów. Potem jeszcze druga kohorta pretorianów wyprzedzała szereg lektyk, niosących cesarżową i liczny, świetny jej dwór.

O ile święta procesja z majestatyczną i ciężką powolnością okrążała była arenę cyrku, o tyle orszak cesarski spadał ze wzgórze z szybkością i tysięcznymi błyskawicami piorunu. Partowie, niosący lektyki Numidzi biegli całą ręczością gibkich swych nóg; rytmiczne i zgodne kroki pretorianów wydawały się chodem olbrzymów, Germanie zdawali się lecieć powietrzem, na skrzydłach rozwianych włosów swych i skórzanym szat. Słońce, które od godziny wesoło ⁴² już na widnokrąg, tysiące płomieni krzeszało w tarczach i hełmach, rozniecało na purpurach olśniewające żary, rzeźbiło w złotym powietrzu kształty ciał nagich, od zaróżowionej białości silnych Germanów i ogorzałej śniadości szczupłych i giętkich Partów do hebanowej, lśniącej czarnośći potężnych Numidów.

Na galerii bramy wjazdowej huczały trąby i flety, na górnych piętrach cyrku upojony własnym miotaniem się plebs krzyki swe zginał do olbrzymiego śpiewu i rytmicznie kołysząc się zdawał się płynąć pod niebem stubarwną falą; przed łożą cesarską roztoczył się mur pretorianów, a zza wklęsłych tarcz, które okrywały ich od ramion do kolan i nad brązowymi skrzydłami wieńczącymi ich hełm, ukazała się

⁴¹ Po „Liwiusza“ brak w rękopisie jednego wyrazu.

⁴² Prawdopodobnie błąd przepisowaczki zamiast „weszło“.

w łoży głowa Cezara w złotej koronie, na której jaśniały wizerunki Jowisza, Junony i Minerwy, i głowy flaminów, mające także złote swe korony, w wizerunki bogów i Cezara zdobne. Jednocześnie za czterema zamkniętymi bramami, znajdującymi się w niskim ogrodzeniu, ukazały się cztery małe, lekkie, dwukołowe wozy, u każdego z których [!] parskały i ziemię niecierpliwymi kopytami były cztery rumaki. Śpiewny wrzask plebsu opadać zaczynał, czuć było, jak wzruszenie oczekiwania rwało głosy i tłumilo oddechy ludzkie; — Kritas, Grek, który klaszcząc jak inni i wydając okrzyki zapahu z podwojoną bystrością ścigał był po twarzach ludzkich odcienia i stopnie zapahu wywołanego przybyciem Cezara, topił wzrok w twarzy Nerei Metelli, dokoła której huragan tłumy grzmiał i opadał jak dokoła nieruchomego posagu o spuszczonej powiekach, obwisłych ramionach i marmurowym spokoju. Teraz dopiero, gdy oko jej utkwilo w stojącej za zamkniętą bramą białej kwadrydze, uśmiech na poły wzgardliwy, na poły boleśny okrążył purpurowe jej usta, głowę podniosła dumnie, lecz od kruczego zwoju włosów do skraju śnieżnej stolli owinął się po jej ciele namiętym dreszczem... [!] Ze szczytu bramy wjazdowej spadł jakby wielki biały motyl. To pretor rzucił chustkę swą na arenę. Jednocześnie opadły sznury zamykające bramy; powoli i na równej z sobą linii posuwając się ukazały się cztery kwadrygi, z których jedną, wyzłoconą, ciągnęły konie złotawej gniadości, a u drugiej, rzeźbami z kości słoniowej okrytej, szły mlecznobiałe rumaki. Na dwu innych, czerwonej i zielonej, woźnice: Porfirion i Skorpus stali w obcisłych tunikach takichże barw, jakie okrywały ich wozy — i w wysokich skórzanych hełmach. Gęsto złotem przetykana tunika i wyzłocony hełm okrywały Rogatusa, woźnicę partii cesarskiej; patrycjusz, stojący na białym wozie, na nogach miał sznurowania sandałów kryjące się aż pod skraj śnieżnej ciasnej tuniki, szyję i ramiona obnażone i sam jeden pośród chwilowych towarzyszy swych głowę bez hełmu, okrytą tylko kruczymi włosami, przewiązanymi srebrną opaską. Jeszcze sekund kilka i — cztery wozy biegly już po zmoczonem piasku areny.

Zrazu ani źdźbło kurzawy nie zmąciło przezroczystości powietrza i wyraźnie aż do najdrobniejszych szczegółów widać było nawet rzeźby okrywające koła kwadryg tak wysokie jak pudło ich zaokrąglające się dokoła woźniców, którzy w jednej dłoni wodze, a w drugiej bicze trzymając stali jeszcze prosto i hamować usiłowali ognistą rączność swych koni. Pięć razy mieli oni okrążyć spinę. Ten zwycięzca zostanie, kto energię i siły zaprzęgu swego najlepiej na krąg ostatni zachować potrafi. Toteż równym klusem na równej jeszcze linii biegly konie i wozy — i wtedy dopiero, gdy po pięciu minutach jazdy po raz pierwszy okrążyły wznoszącą się u skraju spiny metę, woźnica czerwonych wydał krzyk ostry i naprzód popędził. Za nim pognił zielony Skorpusa, złoty Rogatusa i biały patrycjusza jakby wzajem zapatrując się na siebie lub do pojedynkowej wyzywając się walki, jechali coraz szybciej, lecz w parze. Tłum po chwilowej ciszy, zaparciem w piersi oddechów sprowadzonej, wybuchnął znowu:

— Głupi Porfirionie! Po co wyrwałeś się przodem? Czy nie widzisz, że konie twe w połowie trzeciego kręgu już okrywają się pianą! Dzielnie Skorpucie! Naprzód Rogatusie! Co się tak wleciesz i wstrzymujesz zapal Tigrisa. Tigris, lewy koń Rogatusa, dar Cezara sprowadzony z afrykańskich stepów! Tigris niezwyciążony! Nie lekaj się o niego, Rogatusie! Naprzód śmiało. Niech go Akwilon patrycjusza w okrażeniu mety nie wyprzedzi!

Z ław rycerskich i senatorskich trybun mnóstwo ramion męskich i kobiecych wyciągało się ku białemu wozowi.

— Sophos! Juniuszu! Juniuszu śmiało! Juniuszu Arulenie, niechaj cię nie zwyciężą Rogatus i Skorpus! Pędź swego Volturna! Niech Eurys nie ustaje! Sophos twemu Afrikanowi, bo zda się, że iskry sypią się mu z oczu! Strzeż lewego Akwilona! Strzeż lewego przy okrażaniu mety! Lewy najdroższy, on zwycięstwo lub śmierć dać może! Strzeż, Juniuszu, Akwilona! Przodem! Przodem!

Teraz po raz trzeci okrażyli już metę, krąg czwarty rozpoczął się...

Porfirion, Skorpus i Rogatus, na wpół jakby złamani, pochylali nad końmi tułowiy swe, długie bice ich jak świszczące węże kręciły się nad końskimi grzbietami, a urywane, przeraźliwe krzyki ostrymi gwizdami przerzynały grubą ludową wrzawę. Porfirion zawsze jeszcze pędził przodem, tuż, tuż doganiał go Skorpus, za którym mimowoli już pozostawał nieco w tyle Rogatus, a o kilka kroków końskich wyprzedzający patrycjusza.

Juniusz Arulenus Rusticus nie miał w ręku bicia i ani na jedną linię nie zgiął wyprostowanej swej postawy i nie wzmógł zapalu swych koni ani jednym krzykiem. Kiedy trzej woźnice łamali nad zaprzęgami swymi grube swe ciała, on, wysmukły jak palma, do której porównał go był Marcjalis, prosty i biały jak marmurowa kolumna, stał nogą na przedniej poręczy kwadrygi wspierając [!] z żelazną, zda się, siłą. Strumienie potu lały się spod skórzanych hełmów na targane konwulsjami żądz i strachu twarze Porfiriona, Skorpusa i Rogatusa. Śniady brąz jego czoła nie przyćmił się nawet cieniem rumieńca, a z ust wzgardliwie wydętych ani na chwilę nie zniknął uśmiech. Teraz usta te otworzyły się i wydały przeciągłe, śpiewne wołanie, do nuty wyrwanej z pieśni jakiejś podobne, a na szlachetnych, hiszpańskich biegunach, znać kochających głos pana swego, przezroczyta skóra zdrząła i okryła się mgłą pary i cienkie, gibkie ich nogi wyciągając się coraz szybszymi i zawsze wdzięcznymi ruchami jak błyskawice pożerać zaczęły przestrzeń. Już znowu Rogatus, kloniący złoty swój hełm aż nad grzywy swych koni, ujrzał, że dymiące, białe nozdrza dotykały niemal kwadrygi zielonej, przed którą czerwona w szalonym pędzie rozpoczynała okrażanie mety. Wtem u samej mety rozległ się trzask i krzyk straszny, zmieszany, w którym bolesne rzenie koni głużyło jęki i przekleństwa ludzkie. Niedoświadczony i zapalczywy Porfirion, upojony pewnym już niemal zwycięstwem, nie dosyć czuwał nad lewym swym koniem, który, oślepiiony pędem, uderzył się o kolumny mety, padł i na skraj spiny obalił kwadrygę.

na którą wpadły konie Skorpusa. Skorpus, zręczny i na wszystkie koleje igrzyska wdrożony, przeskoczył zdrów i cały pod osłonę spiny, lecz u stóp mety wznosiła się i poruszała bezkształtna masa, z dwu zdruzgotanych kwadryg, z ośmiu splecionych koni i jęczącego wśród nich Porfiriona złożona. Wszystko to stało się w jednym mgnieniu oka i nie wywołało w tłumach zdziwienia ni żalu. Wszak jeszcze dwaj pozostali. W chmurze pyłu, która wzniosła się z nad rozbitych wozów i miotających się koni, zniknęli. Czy także wbiją się w tę ruchomą, bezkształtną masę u stóp mety? Nie! Mistrzowskim obrótem okrążyli ją obaj i oto wywijając się z grubych zwojów kurzawy lecą znowu... Teraz to już pojedynek, którego losy za pięć minut rozstrzygnięte zostaną. Teraz mgła ozłoconego przez słońce pyłu mąci i zaciera linie wozów i koni. To nie dwa wozy już, ale dwa obłoki: złoty i biały. Na złotym chyli się naprzód, konwulsyjnie miota się, biczem w powietrzu świszcze i urwanymi, ochryplymi krzyki wrzask tłumu przerywa barczysty, atletyczny, potężny Rogatus; na białym wysmukły i prosty stoi młody patrycjusz. Wodze spuścił aż ku ziemi, ramiona niedbale zwisają mu u boków i tylko od chwili od chwili rzuca on w powietrze przeciągłą, śpiewną nutę, a opaska trzymając w karbach krucze jego włosy wydaje się lecącym mu nad głową srebrnym półksiężcem. Równają się... złoty obłok wybiegł przodem... doskoczył go i prześcignął biały...

Tłum szalał. Rusztowania utrzymujące górne piętra cyrku trzeszczały pod naciskiem tłoku, w który zbijały się dziesiątki tysięcy rozpychających się pleców i piersi, miotających się głów, klaszczących dłoni i tupocących stóp. Od wrzasku złożonego z zaklęć, przekleństw, krzyków, zachęty, śmiechów bezprytomnych, frenetycznych klaskań, ziemia drzeć się zdawała. Z ław rycerskich olbrzymim chórem buchały imiona Juniusza i koni jego: czterech wiatrów; na dole — senatorowie i dostojnicy dworscy rozwiewali na wiatr purpurowe szlaki swych laticlav, strojne w klejnoty i kwiaty kobiety wstały z miejsc swych i wychylały za bariery trybun twarze rozognione i rozwiane włosy; dumna i można Polla Diodora wznosiła w górę girlandę z róż złotych, którą dla zwycięzcy przeznaczyła. Stara, wykwiecona Elia Katella wskoczywszy aż na barierę szamotała się na niej z pijanym krzykiem i śmiechem; — Nerea Metella obu obnażonymi ramionami konwulsyjnie ścisnęła kolumnę, a przykładając skroń do zimnego jej marmuru palącym się okiem ścigała biały obłok i postać jego jeźdźca...

Nawet tarcze stróżujących u cesarskiej łoży pretorianów wydawały brązowe dźwięki, a na żelazem okutych ramionach żołnierzy opierając dłonie daleko w arenę wychylał się Cezar w purpurze i głosem pana świata wołał:

— Rogatusie, naprzód! Rogatusie, śmiało! Nie daj się zwyciężyć, mój Rogatusie!

Lecz nawet głosu pana świata nikt w tej chwili nie słuchał i nikt nie widział, jak wielka gromada cyrkowej służby z błyskawiczną szybkością wpadła na arenę, sprzątnęła szczątki dwu rozbi-

tych wozów, uprowadziła skaleczone konie i zwyciężonych woźniców, oczyściła od przeszkody wszelkiej podnoże mety. W samą porę! bo oto dwie kwadrygi wydające się dwoma obłokami już dobiegają trzech połączonych kolumn, biały Akwilon zwija się, kurczy gibkie swe ciało, umyka kantów kolumny, wraz z towarzyszymi swymi lwim rzutem sunie naprzód i — już — o kilka kroków końskich wyprzedzając Rogatusa — koło białej kwadrygi stają na białej linii, przekreślając piasek cyrku u stóp bramy wjazdowej. W tłumie stronnicy z ł o t y c h i ci wszyscy, którzy przegrali mniejsze i większe zakłady, zlorzczą i syczą; inni, liczni, frenetycznie oklaskują zwycięzcę. Na twarz Cezara, wychylającą się wciąż zza żelaznych ramion żołnierzy, spadać zaczyna ciemna, groźna czerwoność. Ci, którzy są dość blisko, aby ją spostrzec, klaskać przestają, bledną i milkną; Nerea Metella ani jednym spojrzeniem nie udarowała cesarskiej łoży, a jednak zbladła także i spuściła powieki. Dopóki gonitwa trwała, w chwili szczególnie, gdy rozstrzygały się losy dwu pojedynkujących się z sobą kwadryg — czy ozwalała się w niej i zawrzała krew Rzymianki, czy może inne jakieś uczucia niż namiętna miłość dla igrzysk wstrząsały ciałem jej i ogniem oblewały czoło? Teraz ramiona jej opadły, powieki spuściły się i zdawała się znowu ważyć coś i rozważać w myśli, a z gniewem, od którego poruszały się delikatne jej nozdrza, i z sztyderstwem, które drżało w uśmiechu.

Dwie kwadrygi stały jeszcze u dwu niskich bram żelaznego ogrodzenia. Rogatus stojąc na swojej półrozpaczliwymi, półblazeńskimi gestami usprawiedliwiać się zdawał przed stronnikami swymi z poniesionej porażki.

Juniusz Arulenus Rusticus przyjmował składane mu dary. Niewolnicy Polli Diodory zbliżyli się do kwadrygi i położyli na niej wieniec z róż złotych, — obok palmy srebrnej, którą stronnicy b i a l y c h ofiarowali zwycięskiemu dziś przedstawicielowi swemu. Wiadomo też było powszechnie, że w ostatnim dniu igrzysk rzymskich znaczne pieniądze nagrody oczekiwały cyrkowych zwycięzców.

Juniusz uczynił gest oznaczający, że mówić do tłumów pragnie. Wrzawa spłynęła w głuchy gwar, nad którym wkrótce zapanował głos donośny, czysty i silny:

— Do darów tych, które tu na kwadrydze u stóp moich leżą i do pieniężnej nagrody należącej dzisiejszemu zwycięzcy, dodaję 50.000 sesterców i wszystko to razem daruję tobie, plebsie rzymski, który żyjesz próżniactwem, igrzyskami i rozdawanym ci chlebem. Niech ci za te pieniądze edylowie sprawią ucztę, przy której szlachetne wino w żyłach twoich zawrze i choć na chwilę przypomni ci wszystko, o czym zapomniałeś...

Rozpłomienionym wejrzeniem powiódł po górnych piętrach cyrku, ramieniem uczynił kolisty wskazujący je gest i w wybuchu śmiechu zawołał:

— Żyćcie brzuchy.

Poczem kwadryga jego zwolna wytoczyła się z areny i znikła w głębi wjazdowej bramy.

Teraz na bramie huczała i śpiewała muzyka. Pomiedzy dwoma gonitwami następowala półgodzinna przerwa. Korytarze i wschody cyrku roily się ludźmi, w portykach, obiegających dwie zewnętrzne strony gmachu, z rozwartych arkad buchały wonie sprzedawanych tam jadel i napojów, mieszające się z odurzającymi zapachami pieprzu i korzeni, których główne składy mieściły się w pobliżu. Tu i ówdzie wysokie, wąskie, bogato rzeźbione drzwi oznaczały wejścia do sal wytwornych, chłodnych, od których edylowie oddalali bosa, wpólnagi plebs, a w których kwiat rzymskiego towarzystwa w przestankach igrzysk szukał spoczynku, posiłku i swobodnych rozmów. Ku jednym z drzwi takich korytarzem przybranym w arkady pełne klejnotów i barwistych tkanin dążył świetny i huczny orszak młodzieży, na czele którego Juniusz Arulenus Rusticus postępowal w tym samym jeszcze ubraniu, w jakim tylko co zstąpił z białej kwadrygi. Naprzeciw, jakby na spotkanie jego, szła wysmukła, bialo ubrana kobieta, bez orszaku, prawie samotna, bo za nią szły tylko dwie młode niewolnice w greckich chlamidach, wesole, wytworne, kosztowniej niż pani ich przybrane.

Na widok Juniusza gniew, boleść, trwoga przemknęły po twarzy Nerei Metelli. Stała. On z poczem przyjaciół swych zbliżał się zwolna.

— Niech bogowie mnie skarzą — ozwał się w orszaku młodzieży zniżony głos jakiś — jeżeli nie po raz pierwszy w życiu widziałem żonę młodego Etruskusa, przypatrującą się gonitwom cyrkowym. Stokroć szczęśliwym jesteś, Juniuszu, że świadkami zwycięstwa twego były boskie, nieporównane oczy tej kobiety!

— A ty, Helwidiuszu — odparł głos drugi — często przypatrujesz się oczom tym w domu matki twej Fanii... i byłbyś może, jak tyłu innych w Rzymie, nadaremnie jęczał w zimnych ich więzach, gdyby...

— Gdybym był, Senecionie, przed dwoma laty nie poślubił mojej pięknej i dobrej Aktei...

— Kto wie — grubym, cynicznym śmiechem zaśmiał się głos trzeci — czy piękną Nereę nie sprowadziła tu dziś chęć przypatrzania się atletycznym kształtom Rogatusa, albo...

— Albo... — podchwycił ktoś inny jeszcze — ciasnej tunice i nagim ramionom króla Ardelionów...

Juniusz obejrzał się na mówiących.

— Milcz, Ursusie! Cicho bądź, Meliorze! — zawołał — czy nie macie już gdzie spluć waszej brudnej śliny, że zohydzić ją chcecie najcenniejszą perłę Rzymu? ...Miecz mój rozprawi się z pyskami waszymi, jeżeli choć jeden dźwięk oślich waszych głosów czystych uszu jej dosięgnął.

Nerea Metella była zbyt jeszcze daleko i zbyt wielki gwar głosów buchał z otwartych sklepów i jadalni, aby słowa wymawiane w gromadce młodzieży usłyszanyimi przez nią być mogły. Ze spokojną swobodą ruchów, wśród której ukazywała się w pełni nieskazitelna

piękność jej kształtów, postąpiła ona kilka kroków i podnosząc twarz bladą, pałającymi oczami oświeconą, dźwięcznym, drżącym nieco głosem rzekła:

— Juniuszu Arulenie! Pozwól, że dawna znajoma i towarzyska twoja powinszuje ci dzisiejszego zwycięstwa! Zaprawdę! godna to jest rzecz potomka rodu Juniuszów i ucznia Muzoniusza walczyć z wóznicami cyrku i tryumfować — na cyrkowej arenie. Nikt, Juniuszu Arulenie, nie mógłby lepszego użytku uczynić z bogatych darów przyrody! Nikt dziś w Rzymie weselszym od ciebie nie jest!

Stała wyniosła i spokojna. Śmiała się, lecz po twarzy jej drgały i przebiegały ostre błyski szyderstwa. Juniusz milczał chwilę. Czarne brwi jego ściągnęły się i śniade czoło zaszło rumieńcem gniewu. Z uszanowaniem jednak pochylając głowę po chwili odrzekł:

— Domina! Zanim pogardą swoją okryjesz tych, którzy walczą w arenach cyrku, wskaż im areny inne, wśród których mogliby oni z bogatych darów przyrody czynić użytek szacunku twego godny. A zanim nazwiesz kogo najweselszym człowiekiem w Rzymie, spróbuj popatrzeć w głębię jego duszy...

Widać było, że zawrzał był gniewem, a jednak oczy jego z wyrazem podziwu uwielbienia utonęły w twarzy kobiety. Ona spuściła powieki.

— Juniuszu — szepnęła bardzo cicho — czy pamiętasz... kiedyś... w ogrodzie Trazeusza...

Nie dał jej skończyć. Zadrżał, wyciągnął rękę gestem zdziwienia czy prośby, czy przestrachu, usta jego wydać miały krzyk jakiś, lecz w tejże chwili z Pollą Diodorą i Elią Katellą na czele, z poetami Stacjuszem i Marcjalisem, z których jeden niósł w objęciu pieska Polli Diodory, a drugi małą Katelli, nadciągnął poczet utrefionych, świętnych i wesołych kobiet i mężczyzn.

Nerea z zimnym i dumnym milczeniem minęła Pollę i oglądając się na niewolnice swe zawołała:

— Grajo! Harmodio!

Harmodia nadbiegła, lecz Graję, smukłą i piękną Greczynkę, chwilę jeszcze zabawiła rozmowa z młodym Grekiem w błękitny chiton ubranym⁴³.

— Więc, Grajo, wyjednasz mi u swej pani godzinę rozmowy sam na sam dziś... gdy noc będzie ciemną i domownicy młodego Etruskusa pjanii lub zmęczeni ciężkim snem legną?

— Postaram się o to, Kritasie, — odparła niewolnica.

Kritas usta swe do ust jej prawie przyłożył:

— Pamiętaj tylko, Grajo, że oprócz ciebie i Harmodii, które kochacie panią swoją, a mymi siostrami jesteście, żadne żywe oko ludzkie widzieć mię nie powinno w domu Etruskusa.

Graja skinąwszy głową za swą panią pobiegła. Grek spotkał się z utkwionym weń spójrzeniem Polli.

⁴³ Grek ten, imieniem Kritas, był wysłannikiem spiskowców i z dziwną lekkomyślnością zdekonspirował się przed Marcjalisem w czasie zabaw cyrkowych. (por. K. 38, Rps. nr 13 Arch. E. Orzeszkowej).

— Jakież to niezbrane a śliczne chłopię greckie szeptało coś do ucha niewolnicy Nerei Metelli? — zapytała dumna i piękna, choć niezbyt już młoda kobieta z lasem ognistych loków dokoła szyi i pierśią osypaną szmaragdami. Obejrzała się po swym orszaku.

— Czy nie ma tu nikogo, kto by miał dla mnie tyle przyjaźni, aby dowiedzieć się, kto jest młody Grek ten i jak się nazewa?

Martialis, który piastując w faldach swej togi małpkę Elii Kattelli usiłował wciąż zwracać się plecami do Stacjusza, udostojnionego pieskiem możnej Polli, rozpromienił się radością. Oto Stacjusz wnet zżółknie z zazdrości tak, jak on żółkł dotąd.

— Tym razem, dostojna Pollo — zawołał — bogowie łaskawi są na mnie więcej, niżem na to zasłużył. Ja to bez zwłoki zadowolnić [!] mogę ciekawość twoją. Piękne to chłopię greckie nosi imię Kritasa, a jest wyzwolencem i sługą Antoniusza Saturninusa, dowódcy dwu legii Cezara w Germanii...

Polla [Diodora]⁴¹ błyszczącymi oczami i z rumieńcem wybijaającym się na policzki nawet spod cienkiej warstwy bielidla ściagała lekki, rytmiczny chód oddalającego się Greka. Zapominała nawet o Juniuszu, dla zobaczenia którego opuściła była wraz z orszakiem swym trybunę swoją w cyrku. On wzajem zdawał się nie widzieć ani jej, ani młodych przyjaciół swych zbitych za nim w hucznie rozprawiającą gromadkę, ani kręcącej się dokoła nich i mizdrzącej się do nich Elii Kattelii, ani Martiala dumnie teraz spoglądającego na Stacjusza, który udając, że nie spostrzega oznak nienawiści swego rywala, szeptał coś do ucha żonie swej ubranej w kosztowne, lecz znożone stroje i z pełną pokory tkliwością trzymającej w dwóch palcach faldę stolli Polli [Diodory]. Juniusz Arulenus zdawał się w tej chwili zapominać o tym, co go otaczało. Spod brwi namiętnie ściągniętych okiem pełnym podziwu i uwielbienia ściagał znikającą w głębi korytarza wysmukłą, białą postać Nerei.

[UCZTA W DOMU RZYMSKIM]

[Fragment rozdziału drugiego, K. 69—99.]

W jednej z popołudniowych godzin dnia tego od strony łaźien Tytusa ku pałacowi Polli spiesźnie dążył człowiek niemłody już, ale silnymi pięściami rozpychający stojących mu w drodze ulicznych przechodniów. Ubranie jego składało się z długiego, ciemnego płaszczu, krój i dziury którego oznaczać miały, że okrywa on ciało filozofa, poświęconego wzniosłym badaniom i trudom myśli. Był to istotnie nadworny filozof Polli, Menogenes, Grek rodem, a przez tych, którzy mądrości jego nie ufali, drwiąco przezywany Grekulem. Piekielnie gorąco mu być musiało w filozoficznym, ciężkim, lecz dziurawym płaszczu, bo po twarzy jego zmiętej, rozognionej i skwaszonej lały się strumienie potu. Małe oczy jego rzucały dokoła skośne i ostre

⁴¹ W rękopisie po „Polla“ brak wyrazu, zapewne dlatego, że w niektórych miejscach powieści Polla nazwana jest Faustyną.

blyski, które nadawały im wyraz złości i zawiści. Czaszkę miał całkiem pozbawioną włosów, a jednak nie była też ona naga, okrywała ją bowiem ciemne malowanie naśladowujące włosy. Człowiek ten z malowaną głową i zawistnym wejrzeniem od chwili do chwili przykładał dłonie do żeber swych i łopatek, a gdy to czynił, na twarzy jego zawiść zmieniała się w nienawiść. Żebra i łopatki bolały mu [!] od zabawy, którą z nim ubiegłej nocy wyprawiali długo weseli Ardelionowie. Huśtany na płaszczach zaniesionym on został na Pole Marsowe i tam złożony w ciemnościach nocnych nad brzegiem szumiącej rzeki. Wiele czasu i trudu kosztowało go dostanie się stamtąd na odległą ulicę Subury, gdzie wdrapawszy się po wysokich wschodach był w izdebce ciasnej, na twardym łożu, u wezłowia którego paliła się cuchnąca lampka i stał gliniany dzbanek z kwaśnym cienkuszem. Złorzecząc hulaszce młodzieży rzymskiej, Rzymowi, filozofii i całemu światu usnął. Zasnął. Ani główniej protektorce swej, ani pomniejszych swym patronom pokłonów nie oddał i zaledwie zdążywszy zanurzyć zbolale członki w ciepłych i bezpłatnych wodach wspaniałych łaźni Tytusa biegł na ucztę, która głodny żołądek jego pociągała rajskimi powaby. Lecz czuł, że spóźniał się. Czuł także, że wczorajsza igraszka, ból i gniew wytrąciły mu z głowy wszystkie mądre myśli. Co będzie, jeżeli wielka pani, łasce której zawdzięczał nędzny swój żywot, zażąda dziś od niego długiej rozprawy o zasadach cyrenajskiej szkoły, której wyznawcą się mienił, albo dowcipnego rozwiązania jakiejś zawiłej i tajemniczej zagadki. Byle zresztą lec u suto zastawionego stołu, byle przelknąć ognisty haust falerna, a w serce zawita radość i do głowy powróci mądrość. Biegnie więc, pot z twarzy połą szorstkiego płaszcza ociera, malowaną czaszkę swą od spłowienia na słońcu nasunięciem na nią kapiszona chroni i już mety pożądaney, więc drzwi bogatego pałacu dobiega... Z zewnątrz nikt by nie odgadł, że był to pałac. Z ulicą dzielił go szereg arkad wysokich, w których słudzy Polli sprzedawali plony gospodarstw jej i wyroby jej fabryk. Pełno tam było mięsiv, owoców, jarzyn, napojów, pieczywa, tkanin, garncarskich wyrobów, kupującej publiczności, rozmów wesolych i grubiańskich zatargów. Nad arkadami wznosiły się wprawdzie ściany wysokie, ale nieme i martwe, bo pozbawione okien, które wszystkie zwracały się nie ku sklepom otaczającym pałac i hałaśliwej ulicy, lecz ku wewnętrznym dziedzińcom, krużgankom, ogrodom. Menogenes przecież dobrze miejsca te znający dopadł znajdujących się pośród arkad drzwi wysokich i ozdobnych. Pukać do nich nie potrzebował. Odźwierny dzwoniąc łańcuchami, którymi do ściany był przykuty, otworzył je przed nim natychmiast. Na ścianach korytarza dwa olbrzymie malowane brytany zdawały się wytrzeszczać w mroku iskrzące się ślepiea. Grekul z przykrością zawsze przebywał mroczne te wejście, w którym dzwoniły łańcuchy odźwiernego i zrywały się zdawały ze ścian malowane bestie. U wejścia za to z korytarza otworzyła się przed nim przestrzeń obszerna, widna, strojna, był to []⁴⁵

⁴⁵ W rękopisie brak wyrazu (peristyl).

podwórzec wchodowy, otoczony rzędami kolumn i rozłożystych plata-
nów, z posadzką granitową, pośród której ogromne litery z czerw-
nego marmuru układały napis: „Witajcie“!

Z podwórca tego Monegenes mógł już bystrym i niespokojnym
swym okiem przebiec całą na oścież rozwartą środkową część domu.
W pierwszej od wejścia sali, zwanej atrium, przez czworokątny otwór
znajdujący się w suficie na kilkadziesiąt stóp wyniosłym lał się w tej
chwili wielki słup słonecznych promieni, które pozłacając wodę zgromadzoną w impluwium obfite światło rzucali na malowania okrywają-
jące ściany, koronkowe rzeźby sufitu i misterne wzory mozaikowej
posadzki. Dalej zza szeregu alabastrowych kolumn, które od falują-
cych wśród nich opon szkarłatnych nabierały różowej przezroczysto-
ści, widać było najobszerniejszą i najparadniejszą komnatę każdego
z domów rzymskich, tablinum zwaną, a za tą komnatą perystylium,
długi ganek kryty, na licznych i lekkich kolumnach wsparty, zielony
i barwny od napelniających go róż, lilii, krokusów i cytrynowych
drzew, szeroko otwierający się na rozległą przestrzeń i gęstą zieleno-
ność ogrodowych trawników i alei. Atrium pełne było ludzi ubranych
w ciemne togi, siedzących pod ścianami na sofach i stołkach albo
otaczających impluwium i naiwnie zabawiających się pływającymi
w nim srebrnymi i pasowymi rybkami. Byli to klienci składający
orszaki możnych panów, którzy już ucztowali w triclinium Polli. Obo-
wiązkiem ich było cierpliwie oczekiwać tu końca uczty, aby patronom
swym towarzyszyć znowu w powrocie ich do domów. Na widok ludzi
tych Menogenes przybrał postawę dumną i minę surową. Płaszczem
swym owinął się tak, aby największe dziury jego najłatwiej spostrze-
żonymi być mogły, a mijając ludzi, którzy obojętnie lub z ironicz-
nymi uśmiechami usuwali się mu z drogi, półgłosem w głębokiej jakby
zadumie recytował zawikłane i pełne brzmiących wyrazów frazesy.
Tabli[n]um puste było i wspaniałe z okrywającymi wysokie ściany
rzędami malowanych przodków pani i pana domu, ze stojącymi u ścian
posągami bogów, z wyższym nad wszystkie ze srebra odlanym i róż-
żami zwieńczonym posągiem dzisiejszego Cezara. W perystylium
znowu był tłum, ale tłum niewolników poci obojej współnagich, współ-
przybranych w bogate szaty, którzy pośród kolumn ociekających
rzeźbami, wazonów marmurowych i kwitnących roślin, jak błyszczące
i lekkie roje motylów latali pomiędzy triclinium a gospodarskimi
częściami domu, na rękach, ramionach i głowach niosąc brzemiona
srebrnych i złotych naczyń. Dnia tego wszystkie drzwi pałacu były
na oścież otwarte, wszystkie opony podniesione. Z obu więc stron
Menogenesa ku sali jadalnej dążącego otwierały się komnaty mniej-
sze i większe, strojne w sprzęty z brązu, marmuru i kosztownych ga-
tunków drzew, barwnymi materiałami orzucone, na sfinksach, ląbę-
dziach, lwach, lampartach, słoniowych nogach albo wolicz i baranich
głowach wsparte. Wyniosłe kandelabry jak ciemne lub złociste drze-
wa rozwijały pod sufitami rozłożyste swe gałęzie, srebrne zwiercia-
dła z wyłaczanymi spodami stały u ścian w oprawach migocących
drogimi kamieniami, zabarwione szyby w ścianach i sufitach blaski sza-

firów i rubinów rzucały na gwiazdy i arabeski posadzek w posępnym półcieniu topiąc sufity oplatanie girlandami kamiennych kwiatów i ge-niuszów. Tu widać było długą i obficie oświetloną salę, w której ogromnym kosztem nabyte obrazy starogreckich malarzy ubiegały się o palmę piękności z rzeźbionymi marmurami Praxitela, kością słoniową wyrzynaną arcy mistrzowską ręką Fidiasza, z brązami noszącymi imiona Polykleta i Mirona. Gdzie indziej w dalekiej perspektywie widać było bibliotekę od sufitu do posadzki okrytą zwojami pergaminów bogato oprawnych, zdobną w malowane i rzeźbione wizerunki słynnych pisarzy greckich i rzymskich, uświęconą wznoszącym się w głębi posągami Minerwy w spartańską tunikę przybraną, z hełmem na dumnej głowie, z lancą i puklerzem w dłoniach, u stóp z sową zadumaną i matematycznymi figurami jako symbolami badania i wiedzy.

Droga Menogenesa przez dom ten nie była wolną od kamieni obrazy. Niewolnicy, którym poważnie krocząca postać jego szybki bieg tamowała, lekceważąco ocierali się o fałdy jego płaszcza, albo nawet zuchwałą zeń czyniąc sobie igraszkę pomimowoli jakby odrzucali go od ściany jednej ku drugiej, niejeden z nich uczynił mu za plecami gest naigrawania się, zwany s z y j ą b o c i a n a, a polegający na rozpostarciu u nosa palców obu rąk, lub z udaną pokorą kłaniając się przed nim oznajmiał mu, że uczta już skończona i na stołach w triclinium nie ma już nic oprócz łuski i pestek owoców podawanych na wety. Nadworny filozof wiedział dobrze, że było to wierutną nieprawdą; niemniej szturchańce i żarty młodych i pięknych chłopców, którym dnia tego wiele wolno było, bo stanowili oni jedną [sic] z najbardziej zbytkownych przyozdobień uczty, zalewały mu podniebienie goryczą żółci. Jednak szedł, a tuż za nim nadlatujący rój służebny rytmicznym, tanecznym krokiem niósł na bogatych noszach pierwszego dzika, wewnątrz którego — nadworny filozof wiedział o tym dobrze — pełnym być musiało najwykwintniejszej, drobnej zwierzyny. Więc otoczony i popychany, pomimowoli tańcząc w takt ścisnąjących go tłumnie chłopców w zielonych tunikach, wpadł do sali jadalnej tuż za pieczonym dzikiem, tak, że biesiadującym wydawać się mogło, jakoby malowana głowa jego, z twarzą rozognioną od zmęczenia i złości, na jednych z dzikiem wnoszoną była noszach. Wielki chór śmiechu wybuchnął w triclinium.

Spomiędzy kilku sal jadalnych, znajdujących się w pałacu Ate-diusa i Polli, ta była największą. Jedną ze ścian jej okrywało malowanie wielkich rozmiarów, przedstawiające nimfę Kalipso w gronie towarzyszek swych witającą na czarownej swej wyspie przybijającego do brzegów jej Ulissesa; drugą napelniały roboty pędzla starego mistrza greckiego, Eufra []⁴⁶, którego zwano m a l a r z e m m ł o d o ś c i, bo z obrazów jego same tylko chłopięce twarze, dziewicze

⁴⁶ Po „Eufra“ brak w rękopisie wyrazu lub części. Trudno dociec, kogo miała na myśli Orzeszkowa. Przecież nie Euphrosa ani Euphranora z Koryntu, bo z nimi nie wiąże się w historii sztuki określenia „malarzy młodości“.

ciała i kwiaty w pąkach wychylały się ze słodyczą i świeżością wiosny. Posadzka triclinium tego znikwała całkiem pod warstwą świeżych fiołków tak grubą, że zniszczyć jej nie mogły roje służebnych stóp, a z tego morza kwiatów wyrastały brązowe i marmurowe nogi trzech stołów, przy każdym z których na łożach olśniewających bogactwem ozdób swych, we współleżącej postawie zasiadało osób dziewięć.

Nie będąc jeszcze skończoną — jak złośliwy niewolnik donosił o tym Menogenesowi — uczta przecież daleką już była od początku swego. Przed samym właśnie wtargnięciem do sali pierwszego dzika i nadwornego filozofa współnasytzeni już goście, z kryształowych kielichów sącząc do grzecznie uśmiechniętych ust wyborne wina, przysłuchiwali się deklamacji pani domu, która z oczami wlepionymi w obraz Kallipsy i Ulissesa wypowiadała długi, erotyczny ustęp z „Iliady“. Melodyjna, słodka mowa Greków poprawnie, lecz twardo brzmiała w ustach jej o energicznych, zmysłowych zarysach, głos jej dźwięczny i czysty, ale surowy i silny źle nagiął się do miękkich, lirycznych wzdychań. Kiedy opłynęta fałdami złotej stolli i lokami umalowanymi farbą ognistą, z gorącymi błyskami złota i rubinów u głowy, piersi i uszu, z jaskrawo odbijającym się pośród białej twarzy dumnym łukiem czarnych brwi, arcykształtną, lecz dużą i silną dłonią opuszczającą plectrum, pałeczkę z zagiętym końcem, na struny cytry, można by ją było umieścić w wyobraźni jako natchnioną i srogą rycerkę na czele wojsk kroczących po krwawe chwały i łupy, albo w zmieszanym tłoku bachusowej procesji jako królową bachantek, potężną szalem zmysłowych rozkoszy. Ale w tej chwili istotna natura wielkiej pani okutą była w pancierz wykwintnych obyczajów i mody wszechpotężnej, czyniącej ozdobę i chlubę ze wszystkiego, co pochodziło z dziedziny nauki i sztuki, ze wszystkiego szczególnie, co było greckim. Grekami, a więc ulubieńcami pani domu, były te pacholeta swawolne i śliczne, które teraz wznosząc do triclinium dzika nadzianego drobną zwierzyną wepchnęli[!] tam zarazem pomimowoli tańczącego Menogenesa. Wybuch śmiechu przerwał na ustach pani domu łzawe wyznania miłośne Kalipsy; w tejże chwili ulubiony piesek jej zeskoczył z podnóżka i z przeraźliwym szczekaniem począł ostrymi zębami targać i rozdzierać skraj płaszcza Grekula, przy drugim stole z objęć Elii Katelli wyrwała się nierozłączna towarzyszka jej, małpka — i w dzikich poskokach przeskoczywszy stoły, łoża, po fałdach płaszcza jego wdrapała się mu na ramię, gdzie dziwne i zabawne poczęła dokazywać skoki i grymasy; zaś przykładami tymi zachęcony zza pleców pana domu wyskoczył karzelek w czerwonej tuniczce i z potwornie wielką głową, a wskoczywszy na plecy przybyłego, serwetą umoczoną w winie zapalczywie zmywał mu z łysiny okrywające ją malowanie. Menogenes niby od much natrętnych gestami rąk i głowy opędzając się od pieska, małpki i karła, o ile mógł tylko, o tyle twarz swą rozjaśniał i śmiejącym się z niego ludziom składał dokoła uniżone ukłony. Ze stron wszystkich osypywał go grad żartów.

— Biedny ty — słabym i śpiewnym głosem wołał pan domu — potrawy, któreśmy spożyli, bezpowrotnie są już dla ciebie stracone! Wynagrodź to sobie odczytaniem jednej z ksiąg mędrca Karneadesa...

— Dlaczegoż się zaspiał? — śmiał się ktoś inny — czy w sennym marzeniu kołysały cię objęcia jakiej nimfy?

— Czy może aż do południa przechadzałeś się w cieniu któregoś z portyków tocząc z podobnymi sobie mędrcami uczone rozmowy?

— Ale gdzież tam! O niczym chyba nie wiecie! Nie nimfa to wcale kołysała go w objęciu swym nocy dzisiejszej, lecz weseli Ardelionowie przy blaskach pochodni nosili go na płaszczach swych po uśpionym Rzymie...

— Zatrzymały cię więc w łożu bolące boki...

— Dlaczegoż nie odpowiadasz nic, Grekulu?

— Dajcie mu pokój! Mędrzec nawet, gdy ma czczy żołądek, jest jako pusta amfora. Nie wylejesz z niej nic. Napelnij ją wprzód, a potem — mówić jej rozkaż!

Na czole pani domu ukazała się zmarszczka. Wyprostowała się. Błyskawice oczu jej rozsypały się po twarzach żartownisiów. Głosem donośnym i uprzejmym rzekła:

— Mistrzu Menogenesie! zabierz miejsce, które ci się przy stole mym należy, a gdy zaspokoisz głód i pragnienie, poprosimy cię, abys biesiadę naszą wzniosła i mądrą rozmową swą przyozdobił!

Na słowa te uśmiechy i żarty umilkły.

Pan domu lekkim gwizdnięciem przywołał do siebie karła swego, małpka Elii Katelli wróciła na łono swej pani, uciszono szczerkanie pieska. Ale Menogenes nie zasiadał jeszcze na pozostawionym dlań najniższym miejscu, nie spostrzegł nawet, że jeden z niewolników podbiegł ku niemu, aby zdjąć mu ze stóp grube, opylone sandały. Stał jak przykuty do miejsca i patrzył na Juniusza Arulena, który w pół leżąc na jednym z miejsc pierwszych przez całą scenę głośnych żartów i śmiechów spoglądał nań z lekceważącym uśmiechem. Sekund parę patrzali wzajem na siebie aż z twarzy Menogenesa zniknął ze szczerem wyraz uprzejmej uniżoności, usta jego wykrzywiły się i oczy błysnęły gniewem. Z powagą owinał się fałdami dziurawego płaszcza i ciemną dłoń składając na długiej, źle uczesanej brodzie drżącym głosem wymówił:

— Biada Rzymowi, gdy dostojni jego synowie lekkomyślnie igraszki czynią sobie z tego, który nosi wielkie imię filozofa...

Arulenus zaśmiał się i postać przeciwnika ogarniając od stóp do głów wzgardliwym wejrzeniem zwolna lekceważąco wymówił:

— Płaszcz i brodę widzę, ale — filozofa nie widzę...

Z płomieniem na twarzy Menogenes schylił się aż do ziemi prawie w głębokim pokłonie. Nic przecież nie rzekł.

— Komu pokłoniłeś się, Menogenesie? — zawołano ze stron kilku. Grekul wznosząc oczy ku sufitowi odpowiedział:

— Przed oczami mej duszy stanął mistrz Muzoniusz, który tak wybornie naucza młodych i dostojnych panów zwyciężać w gonitwach cyrkowych same nawet stronnictwo boskiego Cezara...

Juniusz uczynił poruszenie gwałtowne, lecz siedzący przy innym stole Eliusz Lamia z wesołym uśmiechem zawołał:

— Wyborną dykterię przypomniała mi mała ta szermierka słów, którąśmy usłyszeli. Byłem jeszcze chłopięciem młodym i wraz z towarzyszami mymi przechadzałem się raz w portyku Liwii, a pomiędzy nami szedł czczony przez nas mistrz nasz, Muzoniusz. Wtem ku Muzonioszowi zbliża się człowiek zupełnie do mistrza Menogenesa podobny... na bogów, on to sam był może, ale już tego na pewno nie pomnę... Płaszcz miał podarty, brodę nieuczesaną, ogromny zwój starych pergaminów pod ramieniem... „Mistrzu Muzoniuszu, rzecze, masz wielu uczniów i zapewne też wiele dochodów... Ja znowu, który oddałem się służbie możnych, niekiedy na smaczne uczyty mię zapraszają [!]. Dziś przecież patronowie moi wszyscy obudzili się w złych humorach i — głodny jestem. Daj mi parę sestercji, choć jedną, choć asów kilkanaście, abym mógł odwilżyć podniebienie moje, spalone przez noc spędzoną na rozmyślaniach uczonych“. Młodzieńcy, karmieni dumną nauką stoików, zawołaliśmy wtedy, iż człowiek ten nie go-dzien jest, aby mistrz nasz pomocy mu udzielał. Ale dobry i wspaniałomyślny Muzoniusz rzekł do nas: „Powinniśmy go wesprzeć nie dlatego, że on jest człowiekiem, ale dlatego, żeśmy ludzie“ — i na wyciągniętej dłoni jego położył kilka sestercji...

Menogenes zamilkł i wesołego żartownisia przeszywszy gniewnym spójrzeniem legł na koniec na miejscu swym i wnet chciwie, acz w ponurym milczeniu pożerać zaczął postawione przed nim jadło.

Tymczasem zręczni krajczowie nożami w złotych oprawach rozpruwali skórę ogromnego dzika, inni słudzy naczynia srebrne i subtelnymi rzeźbami okryte napelniali pieczonymi przepiórkami, bekasami i jarząbkami, inni w powietrzu prawie i ze zręcznością niezmierną odpowiednimi narzędziami rozrywali na drobne kęsy każdą sztukę zwierzyny, inni jeszcze roznosili korzenne i pachnące sosy, do na wpeł wypróżnionych czar dolewali wina i różami pachnącego płynu albo w ciężkich, drogocennych misach podawali wodę zaprawną wonnościami, którą niektórzy z gości rozkazywali sobie zwilżać stopy i ręce. Panujący przed chwilą w triclinium hałas śmiechów i żartów zmienił się w czasie jedzenia w gwar przytłumiony. Przy jednym ze stołów rozweselony, w piskliwe nieco nuty wpadający głos Marcjalisa zawołał:

— Jeżeli idzie wam o dykterie, jedną z najpyszniejszych, jakie znam, jest odpowiedź Eliusza Lamii, udzielona boskiemu Tytusowi. Wkrótce potem, gdy najpotężniejszy i najwspaniałomyślniejszy pan nasz, Domicjan, upodobał sobie i do boku swego wziąć raczył małżonkę Eliusza, panujący podówczas nad światem boski Tytus doradzał opuszczonemu, aby pojął drugą małżonkę: „Cezarze, odpowiedział Lamia, czy zamierzasz ożenić się?“

Opowiadanie dykterii tej przypisanym być mogło tylko wielu już czarom ognistych win przez epigramistę wychylonych. Natychmiast też kilka głosów usiłowało echo jej zagłuszyć prześciganiem

się w opowiadaniu rzeczy dowcipnych. Juniusz Arulena z żartobliwym i przyjacielskim skinieniem głową ku Marcjalisowi śmiejąc się zawołał:

— Na Eumenidy, Marcjalisie! czy jesteś śmiertelnym wrogiem Eliusza Lamii?

Zagadkowe te słowa utonęły we wzdymającym się zewsząd gwarze rozmów, a jednak spójrzenia kilku par oczów mimowiednie, instynktownie przebiegło [!] po twarzy najbliższego sąsiada pani domu.

Był to Markus Regulus, wysoki, chudy człowiek w surowym i ciemnym acz kosztownym ubraniu, z twarzą tak żółtą, że wydawała się ogniem jakimś, który by po niej przemknął, spaloną, a tak wrażliwą, że zdawało się, iż naprężone myśli i chucie w chwilę wszystkie jej nerwy w drżenie wprawiają. Żrenice jego rzucały silne, szmaragdowo-zielone połyski, a ten blask oczów, jako też giętkość i żywość gestów objawiały w nim młodego jeszcze człowieka. Lecz nad twardym łukiem gęstych brwi zbiegał się snop zmarszczek, a siwiejące już nieco włosy utrefioną gęstwiną wypływały spod opaski z białego bissusu, która otaczając mu głowę przytrzymywała u jednego oka chorobliwie drgającą powiekę. Zresztą Markus Regulus uprzejmym był i dworsko ugrzecznonym, jakkolwiek chwilami nieco i ponurym. Gdy wszyscy śmieli się, on uśmiechał się tylko. Jadł mało, pił powściągliwie, — czasem zamyślał się tak, że zdawało się, że nie słucha wcale toczących się dokoła niego rozmów. Teraz z miną znawcy i miłośnika wychwalał on przed panią domu starożytność i piękność rzeźb okrywających stołowe jej naczynia. Obok niego leżący senator Kryspus widocznie bardzo czatował na chwilę, w której mógłby coś przyjemnego powiedzieć sąsiadowi swemu, pochylając więc ku niemu twarz swą szlachetną i łagodną, tak uprzejmym, że aż prawie uniżonym głosem przemówił:

— Marku Regulusie! jesteś jednym z najlepszych znawców sztuki w Rzymie. Od niedawna posiadam w domu moim przedmiot oczu twoich godny. Jest to grupa z brązu, przedstawiająca Apollina przemieniającego Dafnę w drzewo wawrzynowe. Najprawdziwsza i niezaprzeczona robota Praksyteleasa...

— Pragnąłbym widzieć ją — grzecznie odparł rzecznik cesarskich spraw.

— O! — z niezbyt dobrze udanym uradowaniem zawołał senator — jeżeli ja i synowie moi mamy łaskę w oczach twoich, posiadać ją będziesz jutro w swoim domu. Jest ona własnością syna mego, Aureliusza, który pała żądzą ofiarowania ją [!] w darze synowi twe-mu, którego niech ci bogowie w zdrowiu i cnotach chowają...

Zadowolony uśmiech przemknął po wargach Regulusa.

— Tuliolusz — odparł — wdzięczny będzie szkolnemu towarzys-zowi swemu za dar tak wspaniały. Podobnych zresztą dowodów przy-jaźni ludzkiej posiada on wiele. Nie uwierzysz, dostojna Pollo, jak wszyscy kochają to lube dziecko! Ale co mówię! Wszak i ty także, Domina, przysłałaś mu przed kilku miesiącami ślicznie śpiewającego słowika w klatce, która jest prawdziwym arcydziełem rzeźbiarstwa.

Pozwól jednak, że za łaskę twoją podziękuję ci wyrzutem. Biedny Tuliolus mój, odkąd przysłuchuje się śpiewowi słowika twego, bledszy jest, smutniejszy i zwiększoną słabością serce moje przeraża...

Mówiąc o synie ożywił się i zrazu rozpromienił tak, że zmarszczki znikły prawie z jego czoła. Ale, gdy tylko wspomnił o bladeści i słabości syna, zdwojone chmury zaćmiły mu oblicze, a wzrok utkwził w twarzy Kryspusa.

— Podziwiam, Kryspusie, zdrowie i siły synów twych, ile razy widzę ich do szkoły Kwintyliana po Tuliola mego przychodząc...

Faldy laticlavus, opływające poważną postać senatora, lekko zadrżały.

— Przeciwnie — zawołał z pośpiechem — o! przeciwnie! Aureliusz mój jest na wiek swój zbyt wysmukłym i wiotkim, a Kwintus słabe ma oczy.

Polla żywą i wesołą rozmowę wiodła z leżącym po drugiej jej stronie sekretarzem cesarskim, Abakantusem. Przy tym samym stole senator Kryspinus, uperfumowany tak, że wonie ulatujące z peruki i sukien jego ostro wybijały się spośród napelniającego salę zapachu fiołków, rozpaczliwe czynił usiłowania, aby zwrócić na siebie uwagę pani domu, w czym znacznie przeszkadzała mu ogromna twarz leżącego przed nim i żarłocznie opychającego się jadem Montanusa. Chcąc nie chcąc więc zadawałniać się [!] musiał słuchaniem miękkiej, płynnej, obfitej mowy ładnego Wejentona, z retorycznymi zwrotami i ozdobami opowiadającego jakąś ważną sprawę, którą pomimo, że był senatorem, wytaczał niedawno przed sądem centumwirów. Przy drugim stole młody pan domu toczył ulubioną rozmowę swą o greckiej sztuce i poezji, a ślepy Katullus, dworsko uśmiechnięty, rzeźbione naczynie, ukazywane przez Atediusa ze strony prawej, patrząc na lewo zapalczywie wychwalał.

Najgwałtowniej przecież i najswobodniej było przy tym spomiędzy trzech stołów, którego stronę zewnętrzną otaczały leżące postacie młodych kobiet i mężczyzn. Tam pod wysokim diademem kruczych włosów, złotym piaskiem i ametystami osypanym, delikatna twarz Priscylli, małżonki Abakantusa, jaśniała jak półrozwinięty kielich białej lilii. Tam też niewinne i z ognistymi głębiami oczy młodziankiej pasierbicy Stacjusza, Klaudyny, śmiały się do pochylonego ku niej młodego Senekiona. Tam jeszcze dwaj młodzi wykwinłnisie z głowami, o których trudno by było rzec od razu, czy do mężczyzn albo do kobiet należą, czułymi wyrazy błagali sąsiadek swych, aby chciały z nimi pić z jednej czary; tam na koniec jakieś posągowe ramię kobiece, w ciężkie naramienniki okute, dotykało kwiecistej tuniki Juniusza Arulena, który z niedbałym uśmiechem wpatrzony w parę oczu, z błyskami gwiazd topiących się w jego twarzy, półgłosem wypowiadał wiersz Anakreona.

„Ja bym chciał zostać zwierciadłem,
Byś zawsze na mnie patrzała,
Ja bym się szatą stał miękką,
Co białość podnosi ciała...“.

Senekion podchwycił na ustach przyjaciela miłośną poezję i — jak smukła topola chyląca się nad wiotkim powojem — nad młodziutką Klaudiną schylony wzdychał:

„Sandałkiem byłbym twych stópek,
Przepaską, co suknie przytęża,
Kolią się stałbym pod szyję...“.

Liczna i zwinna służba tymczasem wносиła, krajała w powietrzu i na srebrnym naczyniu podawała pieczone bażanty, pulardy, pawiątkę, morskie barweny i pstrągi, pasztety ze ślimaków suto przyprawione oliwkami, potwornie utuczone wątroby zwierząt i ptaków. Nad coraz gorętszymi twarzami powiewały kołysane tu i ówdzie przez niewolników wielkie wachlarze z piór pawich, ten i ów ręce oplukane w fiołkowej wodzie ocierał o długie, jedwabiste włosy białych pacholąt, lejących z wysmukłych amfor w czary diamentami sadzone pieńjące się strugi sorenckich, albańskich, setińskich win. Wesołość, tamowana zrazu nieokreślonymi zgrzytami sprawionymi przez starcie się sprzecznych z sobą żywiołów zebrania, wzrastać zaczynała. Wzmagały ją małpka Katelli, która przemocą upojona z dziwnymi grymasami skakała po stołach, i karzeł Atediusa z kocią zręcznością porywający sprzed żarłocznego Montanusa kąski najsmaczniejsze.

Marcjalis z czarą w dłoni powstał.

— Nieporównana Pollo — zawołał — zaledwie ujrzałem wymalowany przez małżonka twego portret drogiej twej Issy, boska Kaliopa dotknęła głowy mojej różaną swą różdżką i oto, jak wysła-
wieniem śliczne stworzenie to, któremu łaski twej zazdroszczą tłumy śmiertelników.

Tu wyprostował się i ze wzrokiem natchnionym, a filuternymi zagiegami u kątów warg, deklamować zaczął:

— Issa śliczniejszą jest nad wróbla, którego sławił Katullus. Issa czystsza jest nad pocałunek gołąbki. Issa czulsza jest niż młode dziewice; Issa droższą jest niżli indyjskie diamenty. Mała suczynka Issa rozkoszą jest Polli. Gdy Issa skarży się, mniemałbyś, że mówi; rozumie ona wesołość i smutek swej pani, a na łonie jej spoczywa tak cicho, że daremnie chciałbyś oddech jej posłyszeć. Taką jest skromność tej milej suczynki, że nie zna ona jeszcze związków Hymenu — bo i gdzież się znajdzie małżonek godny tak czulej kochanki? Lecz aby śmierć okrutna nie porwała jej całkiem, Atediusz odmalował wizerunek jej tak wierny, że porównywając Issę z jej portretem mniemałem, że są to dwie Issy albo dwa portrety.

Skończył wśród podziękowań, okłasków i śmiechów. Jeden tylko siedzący naprzeciw Papiniusa Stacjusz nie śmiał się ani chwalił. Owszem, z lekceważącym roztargnieniem chłodził się kitą z czerwonych piór wziętą z ręki posługującego pacholęcia i — stłumił ziewnięcie. Marcjalis, ucieszony zrazu powodzeniem wiersza swego, rzuciwszy okiem na Stacjusza zatrzęsł się i zzielenił.

— Tak! tak! — skośnym spójrzeniem przeszywając rywala zawołał — droga Roma moja kocha, chwali i śpiewa me wiersze, a że... ktoś tam... błędnie, odwraca się i poziewa... jest to właśnie, czego pragnę. Na widok ten wiersze moje podobać się mnie zaczynają.

Ale gniewne sarknięcie to obilo się bez echa o uszy wykwintnego Stacjusza. Powierzchnowość jego zdradzała głębokie poszanowanie siebie samego lub może w sobie godności poety. Byłby też zapewne dalej ochładzał się czerwonymi piórami i z wielbiącym uśmiechem szeptał coś do ucha młodej i pięknej sąsiadki, gdyby spójrzeniem nie spotkał się ze wzrokiem żony swej, Kladii, dającym mu niecierpliwe znaki porozumienia, zrozumiał, czego chciała i powściągnąwszy wyraz niechętnego przymusu, który zrazu twarz jego okrył, powstał. Rozmowy umilkły. Dla talentu autora „Tebaidy“ wyznawano powszechnie w Rzymie poważanie wielkie. Stacjusz, zwrócony do pana domu, zaczął:

— Drogi Meliorze! Ty, którego sądy o literaturze napiętnowane są tym dobrym smakiem i tą wytworną uprzejmością, jakimi przyoblec potrafiłeś całe swe życie, przyjaźń łącząca mnie z tobą tak mi jest słodką, że gotów jestem podzielać wszystkie gorycze twoje. Opiewać więc będę cios Fortuny, który odebra[ł ci] ⁴⁷ ulubionego ptaka, a wiedz, że strofy, którymi go wystawiłem, nie zabrały mię [!] więcej czasu nad dwa obróty wodnej klepsydry. Jeżeli „Tebaida“ moja, kosztująca mię tyle lat pracy, ile pieśni zawiera w sobie, zjedna mi sławę u odległej potomności, niechże ulotna „Sylwa“ ta o twej papudze pomnoży o jedno ogniwo łańcuch wiążącej nas przyjaźni.

Przemowę tę wypowiedział bez cienia pokory i uniżoności, owszem, z powagą i wyniosłością postawy, miarkowanymi tylko wdzięcznym uśmiechem. Nagle przecież brwi jego ściągnęły się w sposób tragiczny, głowę zwiesił smętnie, wzrok schmurzył i deklamować zaczął:

— O papugo, królowo ptaków, ty, której głos uczony zachwycał pana twego, ty, zręczna naśladownico brzmień ⁴⁸ ludzkiej mowy, jakież nieszczęście tak rychło przerwało bezustanny twój szczebiot, o papugo! Niedawno jeszcze, o biedna ofiario losu, dzieliliś uczy nasze i gość przez wszystkich raczony połowę nocy spędzałaś wśród biesiadników. A teraz wieczne milczenie Lety jest twym udziałem, o melodyjna mówczyni!

Tu zwrócił się do zwisającej u sufitu obszernej i pustej klatki, a podnosząc ku niej obie ręce zawołał:

— A jakże świetnym było mieszkanie twoje! Jak pięknym było ono ze swymi ozdobami z szyldkretu, ze swymi prętami z kości słoniowej, ze swymi srebrnymi drzwiami, o które dziób twój uderzał z dźwiękiem, a które teraz jęczą po tobie! Teraz drogocenna klatka ta wdową jest twoją i piękne to więzienie tęskni za drwiącym twym głosem.

⁴⁷ W rękopisie wyraźny błąd kopistki: „odebrali“.

⁴⁸ Wyraz „brzmień“ powtórzyła kopistka dwukrotnie.

Nastąpiło potem strof parę, którymi Stacjusz zwolywał wszystkie uczone ptaki, aby nad śmiercią papugi Meliora wyśpiewywały smutne lamenty. Skończył zaś twórca „Tebaidy“ deklamację swą słowami następującymi:

— Nie ma już tej, która witać umiała Cezara wymawianiem wielkiego imienia jego! Nie ma już tej, przy której nigdy, drogi Meliorze, samotnym nie byłeś. Lecz nie zstąpiła ona bez chwały w krainę cieniów. Z prochami jej mieszał się asyryjski „amomum“, lekkie jej pióra zioną woniami perfum arabskich i sycylijskiego szafranu. I nigdy feniks zmęczony starością nie zgorzał wspanialej w wonniejszych płomieniach!

Wrażenie sprawione „Sylwą“ Stacjusza daleko było głośniejsze niż te [!], które lekkim wierszykiem swym wywołał Marcjalis. I nie dziw, bo jakkolwiek przedmiot utworu tego niejednemu wydać się mógł błahym, forma, w jaką ubrał ją Stacjusz, doskonałą była jak drobne, lecz w pysznym marmurze wyrzeźbione arcydzieło, a do uwydatnienia jej przyczyniały się znacznie dźwięczny, młody głos i piękna powierzchowność poety. Zresztą na białej i delikatnej twarzy pana domu widocznym było rzewne wzruszenie, a gładkie jak u młodej dziewczyny ramiona jego dzięki czynnemu gestem wyciągały się ku Stacjuszowi z miękko opływających rękawów tuniki z indyjskiego, przezroczystego muślinu. Podstarzały, chudy i przez naturę zbyt cienkim głosem obdarzony Marcjalis owijał się niecierpliwie w fałdy swej togi.

— Slicznie! Cudownie! — wołał — czymże wobec dzieł takich są drobne epigramaty moje? Tylko, na szczęście, moje te bagatelki wolne są od nadętości wszelkiej, a Muza moja nie drapuje się nigdy ze śmieszną dumą w dziwaczny płaszcz panów tragiczków. Powiecie mi może, iż ludzie chwalą ich utwory, to prawda, lecz moje czytają!

Eliusz Lamia z rozognioną od wina twarzą jedno ramię ku Marcjalisowi, drugie ku Stacjuszowi wyciągnął.

— Stacjusz! Marcjału! O wy, ozdoby Latium! Jakże uwielbiam was! I na srogie [!] mi lary moje domowe zaklinam się, że nie wiem, kiedy więcej uwielbiać was mam: czy gdy opiewacie suczki i papugi, czy kiedy sławicie boskiego Cezara!

Menogenes, wpółpijany, oczami świecącymi zmysłową rozkoszą, a zarazem z pełnymi powagi gestami rozprawiał głośno:

— Zenon z Cytium utrzymywał, że nic nie ma dobrego, jedno to, co uczciwe. Epikur nauczał: nic nie ma dobrego, jedno rozkosz, ale on zasadę swoją w ciasnych zamknął granicach, bo rozkoszować się kazał w braku czego innego kawałkiem chleba, zapijanym kryniczną wodą. Karneades dopiero rzekł słusznie: nic nie ma dobrego, jedno używanie wszystkich darów przyrodzenia. Jestem czcicielem nauki Karneadesa. Zaprawdę! zmysły nasze są darami przyrodzenia. Głupiec tylko te źródła rozkoszy tamować usiłuje...

— Najlepiej je tamuje sakiewka pełna pajęczyn — zaśmiał się Lamia.

— Eheu! dostojny! taką właśnie jest moja! — jęknął Grekul. W tej chwili przecież wszyscy umilkli i z ciekawością słuchać zaczęli zmieszanej, gwarnej rozmowy, w której brzmiało często imię Cezara.

Elia Katella złotą głowę swą, ustrojoną w róże i perły przychyłając ku Abakantusowi, z zalotnym mizdrzeniem się pytać go zaczęła, czy prawdą jest to, co opowiadają w Rzymie, że zareńscy barbarzyńcy przeciw świętej władzy Cezara bunt chcą podnosić; że najnowsza depesza, przybyła z Germanii, doniosła o komecie, która ukazała się nad obozem dwu połączonych nad Renem legii; że augurowie w zabitym na ofiarę wole nie znaleźli wcale wątroby, skąd wywróżyli, iż zamiar nieczej zdrady powstać musiał w głowie jednego z wysokich dostojników państwa. Sekretarz cesarski skąpo odpowiadał na pytania te, lecz Kryspinus zawołał, iż istotnie dziś z rana ciężka chmura zalegała czoło panu świata, Wejenton przebąkiwał, że wkrótce acta diurna czyli gazeta dworska ogłosi zapewne światu, iż sprawiedliwa kara spadła na pewną występłą głowę... Ktoś wymówił imię Antoninusa, Saturnina, dowódcy dwu połączonych legii nad Renem. Usłyszawszy imię to Regulus pogrążył się w zamyśleniu, Polla Faustyna [!] przeciwnie podniosła się nieco z siedzenia i zawołała:

— Waleriuszu Marcjale! Saturninusa to wyzwolencem jest ten Grek młody i przesłiczny, o którego zapytywałam cię wczoraj?... Czyżeś go dziś nie widział w łaźniach Tytusa?

Purpurowe wargi jej drgały, dumny ogień jej oczu wzmógł się w płomień namiętne. Dyskretne uśmiechy przeleciały po kilku twarzach. Menogenes bystrym, choć wpółpijany wrokiem wpatrzony w patronkę swą zawołał:

— Dostojna! Zaświadczyć mogę, że g[e]jniałny Marcjalis nie był dziś w łaźniach Tytusa, od czasu pewnego bywa on stałym gościem nowych i wspaniałych łaźien młodego Klaudiusza Etruska. Ja to tam byłem, Domina, i niech mi Cerera na zawsze darów swych odmówi, jeżeli nie widziałem tego, kto ściągnął na siebie uwagę twoją...

— Po czymże poznałeś go? — drżącym trochę głosem zapytała wielka pani. Nadworny filozof, uszczęśliwiony zwróconą na niego powszechną uwagą przeżuając wyborne ciasto, którego kawał trzymał w ciemnym swym ręku, pośpiesznie, choć nieco bełkotliwie prawił:

— Było tam chłopię jakieś, nikomu nieznanne, które usługi swe ofiarowywało młodym panom, z wdziękiem i słodyczą, czyniącemu [!] go podobniejszym do nimfy niżli do młodego chłopca...

— To on! — zawołała Polla.

— Ganimed nie był piękniejszym od niego. Twarz jego podobna do alabastru, różowa od promieni słońca i widać od razu, że dawno już nie całowało jej pałace słońce naszej drogiej Italii...

— To on! — powtórzyła pani domu.

— Niechaj Bachus odwróci ode mnie na zawsze oblicze swoje, jeśli młodzieniec ten nie jest tak niewinnym jak pacholę, z którego szyi zdejmuję złotą kulę...

Regulus podniósł spuszczone dotąd powieki.

— Czy chłopię to mówiło ci, mistrzu, że należy do służących albo klientów Saturninusa?

— Nie, najwspanialszy! lecz wypadkiem słyszałem, jak rozmawiając z Eliuszem Lamią, z którego w apodytorium suknie zdejmował, po kilka razy Germanię wspominał.

— Eliuszu! jakżebyś mi wdzięczną ci była, gdybyś mi przysłał Greka tego... Chciałabym go odebrać Antoniuszowi i przyjąć do służby mojej... Z takim jak on podczaszym mógłby się porównać jeden tylko Eorinos Cezara...

Z grzecznym i niskim skinieniem głowy Lamią odpowiedział:

— Niestety, wspaniała Pollo! odkąd ślubowałem wierność myśzy gospodarującej w domu moim, piękność młodych chłopców, zarówno jak młodych dziewczec całkiem obchodzić mi przestała. Grek, który w apodytorium usługi swe mi narzucił, odszedł ode mnie suto wynagrodzony, lecz bynajmniej o nic, co się go tyczy, nie pytany...

Czy wino i panujące w sali gorąco takie płomienie rzuciło na białe policzki Polli?

— Nie zniosę nigdy — zawołała — aby ten Ganimed przyozdabiał sobą dom Nerei Metelli...

Regulus podniósł znowu powieki.

— Jakiż związek ma chłopię to, które tak żywo zajęło oczy dumnej Poli, z małżonką młodego Etruskusa... — zapytał z grzecznym, dworskim uśmiechem.

— Widziałam wczoraj w cyrkowej krypcie, jak poufale rozmawiał z jej niewolnicami. Są to Greczynki tak jak on i może która z nich jest jego...

Nie dopowiedziała myśli swej, zschmurzyła [!] srogie czoło. Regulus, z ust którego nie zniknął dworski uśmiech, przesunął spójrzenie po twarzy Juniusza, który nagle jakby dźwiękiem wymówionego imienia zaniepokojony wejrzenie zwrócił ku pani domu. Potem cesarski rzecznik mile uśmiechnionymi ustami sączył powoli wino z czary, ale chora powieka drgać mu poczęła tak szybko i bezprześcannie, że aż przysłonić ją musiał całkiem białą opaską.

Ze złotych i srebrnych naczyń zniknęły teraz olbrzymie szpaki, pieczone kasztany, rozliczne gatunki sztucznie przyprawianych grzybów, ozdobne szafranem i migdałami woniące ciasta. U jednego ze stołów podniosła się z siedzenia swego małżonka Abakan-tusa, Priscylla, i donośnym głosem zawołała:

— Wypiję tyle czar wina, ile jest liter w świętym i drogim wyrazie: Cezar!

Smukła, wiotka, w stolli ametystowej barwy, połyskującej złotymi haftami, ramię alabastrowej białości wyciągała ku jednemu z podczaszych, a w palcach jej świecących drogimi pierścionkami kielich z kryształu palił się jak rubinowy tulipan. Na hasło te usta wysmukłych amfor chóralnie zadzwoniły o brzegi czar. Litery składające tytuł Cezara niby nuty urywanego śpiewu prze-

latywały z ust do ust. Nagle wmięszwały się w nie urywane dźwięki cytry i lekkich, szybkich uderzeń opadającej na nie pałeczki. Był to Juniusz Arulenus, który z ręki niewolnika pochwycił cytrę i przy wtórze melodyjnego instrumentu współpiewać, półwypowiadać począł brzmiące recitativo, będące zarazem hulaszczą pieśnią Tybulla:

— O wesoły Bachusie! bądź nam łaskawym! i niech nawzajem winna latorośl uświęca zawsze twe tajemnice, a bluszcz zielony zwieńcza twą głowę! Piękne pachole! winem ognistym napełń mą czarę i niechaj smutków, trosk, gniewów czereda natrętna zniknie przed świetną jasnością dnia. Wy, o przyjaciele moi, za mną! za mną! Z czarami w dłoniach! A kto uciecze od słodkiej tej walki, niechaj go zdradzi Eros skrzydłaty. Eros, zwycięzca tygrysów Armenii i lwic z rudymi grzywami. Eros miękkimi czyniący serca najtwardsze!

Szał pieśni tej roznoszony po sali przez głos męski i silny, w namiętnych głębiach którego odzwały się nuty ponure, rozlał jakby na wszystkie głowy upojoną wesołość. Wszystkie oczy tkwiły w twarzy młodego człowieka, która jak wczoraj na cyrkowej kwadrydze, tak teraz wśród pieśni hulackiej i szkarłatów okrywających łożę zdawała się być wykutą ze śniadego marmuru. I tak samo jak wczoraj krucze włosy opadały mu niedbale na spokojne czoło, a purpurowe wargi zarysowywały uśmiech dumny i niedbały. Wpatrzony w niego Regulus szepnął do siebie:

— Dusza człowieka tego nie jest ani w pieśni Tybulla, ani w kielichu.

Powieka jego w szczególny sposób drzeć zaczęła, gdy wszystkie kobiety z panią domu na czele, uniesioną i do istotnej natury swej pod wpływem pieśni i wina wracającą, świetnym wieńcem otoczyły śpiewaka.

— Pijmy tyle czar wina, ile jest liter w słodkim imieniu Juniusz! — zawołała Polla Faustyna [!] i kilkanaście ramion marmurowych, w złoto i diamenty okutych poniosło do rozkosznie śmiejących się ust szumiące trunkiem tulipany z kryształu. W tejsze chwili okrecyli się na utajonych sprężynach rzeźbione kwadraty, składające wyniosły sufit, a przez otwarte w ten sposób okna lać się zaczął na salę i biesiadników obfity deszcz róż i fiołków. Był on tak obfitym, że w parę minut pojedynczymi lub w wieńce zwitymi kwiatami usłał stoły i łoża, a na posadzce tak grubą legł warstwą, iż stopy kobiece grzęzły w niej i kryły się całkiem świecąc tylko jeszcze haftami ze złota i pereł, zdobiacymi drobne sandały. Kiedy na koniec oslepiająca barwami i upajająca wonią świetna ta mgła zniknęła, w głębi sali z mgły tej jakby wyłonione ukazały się grupy postaci kobiecych, podobne do grup nieruchomych posągów. Tu Numidki, których hebanową czarność ostro przerzynały u nóg, rąk i szyi złote obręcze, a wśród szkarłatnych warg rzędy białych zębów, na silnych dłoniach trzymały złote podstawy ze śnieżystymi górami i lodowymi piramidami cukrów. Dalej nieco Greczynki, wysmukłe i białe jak wzniosłe marzenia, przezroczystymi fałdami chlamid opłynięte, głowy swe strojne w proste węzły włosów ugiwały pod ciężarem koszów piętrzą-

cych się złotem jabłek i melonów, a opływających ciemnym granatem gron winnych. W pobliżu Greczynek córki gorącej Hiszpanii, o cerze krwi i ognia, o gwiazdzistych oczach, długimi, kruczymi puklami włosów jak płaszczem okrywały nagie swe plecty i piersi, a dłońmi ozdobnymi w pierścienie przewijały długie gałęzie, pełne granatów, daktyli, migdałów, puszystych brzoskwiń i moreli. Były tam jeszcze i kobiety wschodu, z rozmarzonymi uśmiechami na pokornych twarzach, z oczami sączącymi senną lubieżność, w krwistych półszatach, przysłoniętych błękitnym dymem, mglącym się z kołysanych przez nie kadzielnic.

Na widok ten okrzyki podziwu i zachwycenia zabrzmiały w sali. Nawet chłodny i spokojny Abakantus winał pani domu pomysłów zdobiących zazwyczaj jej uczyty, a dokoła sennie spoczywającego na poduszkach Meliora gromadzono się licznie z poklaskiem i dziękczynieniem; nikomu bowiem tajnym nie było, że jeśli na rzecz uczt podobnych z dłoni Polli wysypywał się deszcz sestercji, to jednak mąż to jej, wspomagany przez najlepszych artystów czasu i dla tych tylko celów otrząsając się z sennego swego lenistwa, twórcą był wszelkich ich ozdób. I zaledwie oczy biesiadników nasycić się mogły widokiem, jaki się im przedstawił, zaledwie soczyste i chłodne owoce zrosiły rozognione ich usta, w perystylium zabrzmiała muzyka i opony rozdzielające triclinium z krążgankiem uniosły się w górę odsłaniając rząd kolumn z numidyjskiego żółtego marmuru. W perystylium frigijskie i pytyjskie flety, syryjska „tam“ i grecki poliphongon zawiodły zrazu miękką, cichą, marzącą melodię, która jednak wkrótce wznosić się i przyspieszać zaczęła, aż rozsypała się w tonny radośne, lekkie, skoczne, przerywane jękami, drącymi się do dna piersi i westchnieniami nabrzmiętymi miłością. Jednocześnie na stołach, z których zdjęto wełniste obrusy, dźwięknęły ze złota i kości słoniowej wyrobione narzędzia gry i w ciemniejszym już triclinium, u rozłożystych gałęzi świeczników strzeliły liczne, wysmukłe płomienie. U jednego ze stołów na wzorzystą taflę cytrynowego drzewa z trąbki podobnej do rogu myśliwskiego z dźwiękiem wypadły złote kości.

— Same szóstki! Rzut Wenery! — zawołało kilka głosów — Juniuszu! tyś zawsze pierwszy w łaskach Fortuny! Do ciebie śmieją się najpiękniejsze oczy! Do ciebie Wenera układa kości w rzut nożący jej imię!

Monegenes chwiejącym się, lecz niemniej powagę udającym krokiem opuścił triclinium i dążył do atrium kędy zarządca dworu Polli z pomocą kilku sług wyższego rzędu rozdawał tłumowi klientów hojną sportulę, czyli obowiązujący patronów względem klientów zasilek pieniężny. Na każdą z licznych wyciągających się tam dłoni spadało po sześć sestercji. Menogenes spieszył, aby swoją wyciągnąć. Triclinium opuścił, bo gra w kości niepodobną mu była przy sakiewce pełnej pajęczyn, a niktzemni podczaszowie ze skrytym śmiechem zaczęli mu już lać w czarę daleko więcej różanej wody niż wina.

Wtem usłyszał za sobą wymówione swe imię. Obejrzał się. Był to Regulus, który w ciemnym swym stroju stał u jednej z kolumn pustego tablinium i w mroku ogarniającym salę, do niewyraźnego cienia podobny, gestem ręki przyzywał go ku sobie.

Z niskimi pokłonami i rozradowanym uśmiechem poskoczył nadworny filozof Polli do cesarskiego rzecznika tak spiesźnie, o ile mu na to wpółpijane nogi [pozwalają]⁴⁸.

— Mistrzu Menogenesie — zaczął z cicha Regulus — spójrz tam przed siebie w głąb atrium. Czy widzisz wysokiego pana tego w kwiecistej tunice, który z tak łaskawą miną rozmawia w tej chwili z klientami swymi...

— Jakżebym mógł go nie widzieć? — ze zdziwieniem odparł Menogenes. Wszak to dumnego i złośliwego Juniusza ukazujesz, mi, wielki Regulusie!

— Czy kochasz człowieka tego?

Grekuł syknął.

— Pragnąłbym wlać w niego jad hydry i pianę ciekącą z paszczy Cerbera!

Regulus pytał dalej:

— Czy rysy Greka tego przybyłego z Germanii, który dziś w łaźniach Tytusa posługiwał Lamii, dobrze przytomne są twej pamięci?

— Mam je przed oczami, lecz o Regulusie! powiedz mi po co...

Oparty o kolumnę cień z białą opaską na głowie gestem nakazał mu milczenie. Po chwili przymilony głos szepnął mu do ucha:

— Mistrzu Menogenesie, szanuję uczoność twą i myślę, że go-dzien jesteś lepszego losu...

— O! dostojny!

— Wielka filozofia gnieździ się w głowie twojej, ale w oczach twych dojrzałem także spryt, który wzmaga chucie i chucie, które zaostrzają spryt...

— O! wspaniały!

— Mniemam, że nie byłoby ci nieprzyjemnie zamieszkać we własnym ładnym domu, zamiast jak szczur gnieździć się w udzielanej ci z łaski cuchnącej i ciasnej izdebce...

— Żartujesz ze mnie, o moźny!

Głos Menogenesa stawał się żałośnym.

— Są na świecie srebrne naczynia, lektyki i wygodne sofy okryte poduszkami, kucharze zręczni, piwnice zasobne w wina, a zdaje mi się też, mistrzu, że ilekroć na ulicy Subury uszu twych doleczą wśród nocy dźwięki syryjskich [!] ⁴⁹, przy których kobiety z tiarami na głowach, w salach zamkniętych przed wzrokiem edylów płaszać zaczynają, sen twój bardzo niespokojnym się staje...

⁴⁸ W rękopisie brak narzucającego się tu wyrazu „pozwalają“, który prawdopodobnie kopyściśka opuściła.

⁴⁹ W rękopisie brak po „syryjskich“ wyrazu — chodziło o jakiś instrument, więc piszczałki, fletnie lub wspomniany wyżej „tam“.

— Tyś wszystko wiedzący, kłamać przed tobą nie będę. Prawdę rzekłeś. Lecz niech mię czysta Dianna losem Akteona dotknie, jeśli kiedy przestąpił próg takiej sali...

— Takiś wstrzemięźliwy? A cóż twój Karneades na to?

— Karneades, o Regulusie, wiedział też pewno o tym, że bez Cerery i Bachusa Wenery marznie...

Mówił to prawie z płaczem. Wtem uczuł, że ręka, której dojrzyć nie mógł, opadła mu na ramię, a nad uchem jego schylone usta szybko, bardzo szybko szeptały:

— Znajdź Greka dla mnie, rozumiesz mię, dla mnie tylko znajdź, a człowieka tego, który cię wczorajszej nocy tak ciężko znieważył, strzeż jak źrenicy swojej... usiłuj o nim wiedzieć tyle, ile wiesz o swej źrenicy. Słuchaj! Dokąd dąży on teraz? Dlaczego opuścił tak wczesnie zabawę wesołą? Czy rozumiesz mię? Skrzydła sobie do stóp przypnij! Oczu pożycz od Argusa! Cieniem stań się! Czy rozumiesz mię? Sową stań się w nocy widzącą! Mnie zaś nawiedzaj często, a kto wie, co u końca odwiedzin tych w domu moim dla siebie znajdziesz?

Tu Menogenes uczuł wsuwaną mu w dłoń małą sakiewkę z pieniędźmi i chwilę stał pogrążony w osłupiałej zadumie. Ocknął się z niej przecieży rychło. Wytrzeźwiony całkiem szybko przebiegł atrium i dom patronki swej opuścił.

Markus Regulus wracał do zebranego w triclinium towarzystwa. U wyjścia z tablinium zatrzymał się, aby okiem znawcy i miłośnika piękna popatrzeć na przedstawiający się mu w tej chwili obraz. Był to istotnie obraz godny podziwu. Właściwa domom rzymskim architektura, skąpa w okna, a w otwarte na przestrzał kolumnady bogata, sprawiała, że kilka rodzajów światła w jednym momencie dnia mieszać się tu mogło. I teraz także wpółciemne już tablinium świeciło w głębi srebrnym, ogromnym posągami Cezara, a przeciwległy mu koniec perystylu szeroko otwierał się na zieleń ogrodu, skąpaną w różowych lunach zachodzącego słońca. Łuny te wpadały do krużganku, gdzie wśród wzdychających, zawrotnych tonów muzyki, wśród marmurowych wazonów, rozkwitłych róż i żółtym owocem obwieszonych drzew cytrynowych, chóry Andaluzek, o rozżarzonych oczach i włosach rozwianych, z wieńcami na głowach i kastanietami w dłoniach, chyżymi stopy i z lubieżnymi ruchami ciał giętkich unosić się zdawał[^y] ⁵¹ w złotej i różowej mgle. Z boku zaś kolumny z żółtego marmuru oblane światłem lamp gorzały jak nieruchome słupy ogniste, a za nimi w triclinium w powodzi róż i fiołków męskie i niewieście postacie kłoniły się ku sobie z czarami, wieńcami i złotymi kośćmi w dłoniach, na twarzach z uśmiechami rozkosznego upojenia lub miłośnych tęsknot. Alabastrowe ramiona, okute w diamenty i złoto, zakreślały na purpurowych poduszkach miękkie półkola, a potoki czarnych lub ognistych włosów strząsały deszcze złotych pyłów na plecy i piersi, z których osuwały się suknie, rubiny błyszczały pośród róż, perły wiły się po łabędzich szyjach, kryształy,

⁵¹ Kopistka napisała: „zdawał“.

amfory kołysały się w dłoniach białych chłopców, od chwili do chwili, głucha na brzmiającą w perystylu muzykę, unosila się i duszona jakby woniami w połowie swej milkła wesoła pieśń Anakreona albo miłośna elegia Safony. A w głębi okrywające ścianę malowanie udzielało sali głębokiej perspektywy i wiosennej świeżości krajobrazu greckiego, i nimfa Kalipso w orszaku towarzyszek swych zdawała się zstępować z zielonej swej wyspy, aby wziąć udział w upojonej wszystkimi rozkoszami świata zabawie Rzymian.

[Koniec rozdziału drugiego]

[W PAŁACU CEZARA]

[Początek rozdziału czwartego, K. 152—165 = 107—118]

Na Palatynie, w dalekich głębiach cesarskiego pałacu dogorywające płomienie lamp wiły nici ciemnego dymu pod sufitem pracowni Cezara, tak wyniosłym, że bystre oko zaledwie rozeznać mogło okrywające go ozdoby. Ściany obszernej pracowni tej od góry do dołu przyoblekał marmur oficki, mieniącymi się barwami swymi i metaliczną połyskliwością przypominający skórę wężową. Grube, kwieciste opony, nie wypuszczające na zewnątrz żadnego dźwięku, okrywały wszystkie drzwi do dalszych części pałacu wiodące, a błady błękit świtania i żółte płomyki lamp napępiały komnatę światłem skąpym i smutnym. U jednej ze ścian drogocenne, jaskrawe tkaniny uścielały łożę z kości słoniowej, urobione w kształt umożliwiający czytanie i pisanie w postawie leżącej, w pulpit zaopatrzone, lectris lucubratorius zwane. Na łożu tym w szkarłatnej chlamydzie greckiej, przytrzymywanej u ramienia spinką z drogich kamieni, o wysokie wezglowie wsparty, ze stylem w palcach, zawieszonym nad papierami okrywającymi pulpit — we wpółsiadającej, a w półleżącej postawie spoczywał Domicjan. W najwcześniejszej godzinie tej dnia rzymskiego członki swe wyciągając na zwojach tkanin wschodnich, pod którymi rozkosznie gięły się puchy łabędzie, nie spoczywał on jednak całkiem. Papiery i tabliczki napępiające pulpit i obecność Abakan-tusa, pochylającego głowę nad pobliskim stołem, świadczyły, że samowładny rządca ziem rozległych i zamieszkujących je stukilkudziesięciu milionów ludzi myśl swą zatrudniał sprawami olbrzymiego i kwitnącego państwa.

Kres młodości męskiej, wedle rachuby Rzymian od 17-stu do 46-ciu lat życia trwającej, dalekim był dlań jeszcze, a rysy jego nosiły wyraźne ślady przyoblekającej je w wieku młodzieńczym piękności. Zbyteczna tylko — jakkolwiek ulubiona Rzymianom — niskość czoła, wąskość zaciętych warg nadawały jej profil ptasi, a czaszka, całkiem prawie pozbawiona włosów, rzucała na nią cień wczesnego zestarzenia. Ze szkarłatnych fałd chlamidy wychylające się nagie jego ramię piękne było i silne, lecz obfite nawet draperie ubrania ani leżąca postawa ukryć nie mogły otyłości, zaczynającej nadwierać harmonię jego kształtów i całą postawę szpecącej piętrem zniewie-

ściałości zmysłowej i ocieźzałej. W chwili spokoju, ze spuszczoneymi powiekami twarz Domicjana bladą była, łagodną i — co dziwna! wyrazem skromności okrytą. W chwili takiej patrząc na nią rzec by można, iż jest to twarz człowieka zawstydzonego, strwożonego prawie wspaniałym swym losem.

Spokojnym, lecz kornym okiem w twarz tę spoglądał Abakantus, na wyzłoconym stolku bez poręczy przy stole z ofickiego marmuru siedzący, w śnieżną togę, bez niedostępnych wyzwoleńcom szkarłatnych i złotych ozdób ubrany. Wielkimi musiały być zdolności, niemalą energia człowieka tego, który z upośledzonej tłuszczy niewolników wyszedłszy, w kwiecie młodości swej dosięgnął już dostojęństwa procuratora ab epistolis, czyli sekretarza cesarskiego i zarazem ministra zagranicznych i wewnętrznych spraw rzymskiego państwa. Od pierwszego rzutu oka poznać było można, że Rzymianinem nie był. Małość oczu, zmysłowa wydatność warg i żółtawy odcień cery zdradzał w nim syna Wschodu, Syryjczyka, z przebiegłym umysłem, kornym sercem i ciałem lubującym się w rozkoszy. Lecz przebiegłość Abakantusa nie była znać chytrością, a pokora jego nie wyłączała w nim godności człowieczej, bo w spójrzeniu jego ku twarzy Cezara zwróconym, w zamysłonym obliczu pochlebnych przymień nie było. Być może, iż wewnętrzzną oporą, przez którą trzymał się on prosto, była filozofia, bo na wielkim pierścieniu, przyodzabiającym białą jego rękę, jaśniał portret Epikura. Epikurejczyk to też zapewne bardziej niż dworak przez usta jego przemawiał, gdy po głośnym⁵² przeczytaniu paru sprawozdań, przez inspektorów robót publicznych sporządzonych, nieruchomą twarz swą chyląc w pełnym uszanowania pokłonie mówić on zaczął:

— Wielkim jesteś, panie mój, rządcą swojego państwa i mądrym dobroczyńcą zamieszkujących je ludów. Jakże świątły umysł twój ucieszonym być musi dokonaniem tak potężnego dzieła, jakim jest przeciągnięcie szlaku drogi Apijskiej aż do samych wybrzeży morza. Tam, kędy niedawno jeszcze podróżowanie było męczarnią, a bagna i cuchnące wody pochłaniały drogi czas podróżników tchnieniem swym zatruwając im zdrowie, dziś kamiennymi łańcuchy spojone ścielą się płyty twardego marmuru, po których koła wozów i kopyta wierzchowców przebiegają przestrzeń z szybkością i swobodą okrętów sunących po gładkich falach. Nowa droga ta, mająca nosić wielkie twe imię, ujmie ludowi twemu wiele strat i przykrości, a stanie się źródłem nowego wzrastania bogactw i mnóstwa chwil przyjemnych...

Domicjan mowy tej ministra swego słuchał ze spuszczoneymi powiekami, lecz widać było, że dźwięki pochwał muskały mu ciało rozkosznym dreszczem. Głosem przyciszonym i skromnym odpowiedział:

— Pragnę, Abakantusie, aby dobrodziejstwa rządów moich dorównały tym, które zlała na Rzym dłoń brata mego, Tytusa...

⁵² W autografie „głośnym“ powtórzone jest dwukrotnie.

Przy ostatnich wyrazach podniósł powieki i niepokoju pełen wzrok utkwiał w twarzy ministra.

— Już, panie mój, przewyższyłeś boskiego brata twego w czynach i chwale; boć jeśli on na miejscu złotego domu Nerona wznosił łaźnie publiczne, to ty, wielki Cezarze, tam, gdzie rozlegały się Nerowne stawy, wznosisz Kolliseum, nad które wspanialszej budowy nigdy na ziemi nie było. Nowa droga twoja dopomoże wzrostowi bogactw i oszczędzić będzie zdrowie kupców i żołnierzy, — w nowym amfiteatrze twoim setki tysięcy ludzi dusze swe nurzać będą w weselu i rozkoszy...

— Odbudowałem kapitolijną świątynię — szepnął Domicjan.

— Tyś to uczynił, panie!

— Wzniosłem panteon cudnej piękności dla prochów rodziny mojej!

— Tyś to uczynił, panie świata!

— Przyozdobiłem Rzym mnóstwem arcydzieł architektury i sztuki! Oddechowi rzymskiego ludu dałem rozległe, zielone ogrody!

— Tyś to uczynił, władco i dobroczyńco ludów swoich!

Wzajem teraz patrzali na siebie. Twarz Cezara okryła się wyrazem dumnej radości, w zimnych oczach ministra zapłonęła iskra uwielbienia szczerego. Szczerze wielbił on mocarza dającego światu wygodne drogi, olbrzymie miejsca zabaw, gmachy i ogrody rozkoszą karmiące oczy i piersi.

— Ale nie tylko Rzym i Italia zawdzięczać będą tobie, wszechpotężny! wzrost szczęścia swego. Na świat cały rządy twe rozlewają dobroczynne światła cywilizacji. Poddają się im już najdzikszy barbarzyńcy. Oto są wieści z Brytanii, które oczekują łaskawego wysłuchania twego...

Domicjan żywo podniósł głowę i zaniepokojony, ożywiony niecierpliwie rzucił: — Czytaj!

Abakantus czytać zaczął.

— „Juliusz Agrikola dokonał podboju wyspy Mony, a wielkość i chwała okryła imię rządcy prowincji, który trudom i niebezpieczeństwom święci czas oddawany przez innych widowiskom i zbieraniu holdów...”.

Z żywym poruszeniem Domicjan przerwał.

— Kto pisał słowa te?

— Legat twój, panie, którego u boku Agrikoli umieściłeś...

— Umieściłem go tam dlatego, aby mi o nim pieśni pochwalne śpiewał?

Na bladą wprzódę twarz jego trysnęły czerwone plamy, głos zabrzmiał paru groźnymi dźwiękami. Abakantus ze wzrokiem utkwionym w papier milczał. Cezar powściągnął się i powtórzył: — Czytaj!

— „Na zdobyczach wojennych Juliusz Agrikola nie poprzestając, barbarzyńców kraje te zamieszkujących czyni synami wielkiej cywilizacji naszej. Skłania on ich do wznoszenia świątyń, domów

i rynków, wynagradza pracowitych, zachęca leniwych o współubieganie się, które obudza, usuwa potrzebę przymusu. Dzieci Brytów zaczynają uczyć się nauk i sztuk rzymskich, a ojcowie ich wpólnagie dotąd swe ciała okrywać zaczynają rzymską togą...“.

— Dosyć! — zawołał Domicjan, w gwałtownej dłoni ściskając miękkie draperie opływające łożę.

Abakantus umilkł.

— Cóż ty na to? Abakantusie, cóż ty na to? Legat mój zdrajcą jest... dla czynów Agrikoli zapomina o wielkości i chwale pana swego.. Tysiąc takich Agrikolów powstanie na rozkaz mój... jeden jest tylko na ziemi Domicjan... Czemuż milczysz, Abakantusie, czy i ty także należysz do wrogów moich?

Minister niezmacone spójrzanie swe podniósł ku twarzy rozgniewanego. Widać było, że trwogi nie czuł i kłamać nie zamierzał.

— Ja wielbię cię, Cezarze, jako dobroczynnego boga ziemi — odpowiedział — lecz wielbię cię także i w dowódcach i w pełnomocnikach twoich. Od chwili, w której wybrałeś Agrikolę dla dokonania podboju i ucywilizowania Brytanii, Agrikola przestał być sobą, a stał się dziełem twoim. Kto pochwała czyny jego, pochwała tylko ciebie, bo od ciebie biorąc prawa do życia i działania jest on niczym więcej jak dziełem i stworzeniem twoim.

Tylko syn Wschodu zdobyć się mógł na odpowiedź taką i, co więcej, szczerze czuć to, co mówił.

Domicjana odpowiedź ta uspokoiła.

— Znam wierność twoją, Abakantusie — odpowiedział — i oby ludzkość cała podobną tobie była, lecz ty, przybyszu, ty młody, nie wiesz jeszcze, czym są synowie Lacjum... W żyłach każdego z nich płynie jeszcze choć jedna kropla krwi Brutusowej... Spiski i bunty ich znał Tyberiusz, znał Klaudiusz, znał i Neron... Agrikola jest jednym z nich... a przyjaciele jego liczniejsi niż moi...

Pobladał znowu i drżącym ruchem otulił plecy i piersi kapą z tyryjskiej purpury.

— Jeżeli, panie mój, istnieją w Lacjum tacy, o jakich mówiłeś, są to szaleńcy, których zdepcz potężną swą stopą.

— A ty, Abakantusie, nie znasz w Rzymie podobnych? — przesywając wzrokiem ministra swego syknął Domicjan.

Z twarzą, w której nerw żaden nie drgnął, ze spuszczoneym wzrokiem i plecami nad stołem zgiętymi Abakantus milczał.

— Z Galii? — pytającym głosem rzucił Cezar.

— Siedmdziesiąt miast galijskich wyrycę kazało na miedzianych tablicach nadane im przez ciebie, najmędrszy! prawa municypalnych zarządów, wolnych wyborów i przedstawicielskich zgromadzeń. Łaskami tymi ujęci Galowie romanizują się z szybkością zadziwiającą, swobodne municypia budują, drogi na wzór rzymskich, zakładają szkoły, w których kwitnie łatyńska wymowa, wznoszą bazyliki i rynki, a wizerunki twoje, najwspanialszy! z marmuru, srebra i złota wszędzie przypominają oczom ludzkim wielkość twą i wspaniałość...

Po ciele Domicjana przebiegał znowu dreszcz rozkoszy. Ze skromnością na twarzy i w głosie rzekł:

— Juliusza Cezara naśladowcą jestem. On to — ten wielki! zrozumiał pierwszy, iż dla szczęścia i chwały państwa należy w prowincjach zaszczepiać cywilizację naszą przez nadawanie im tych samych praw, z których cywilizacja ta wykwitła...

Tu zaciśnięte wargi jego zarysowały uśmiech złośliwy a ze źrenic strzeliło parę wężykowatych błysków. Ciszej dodał:

— Prawa i swobody — prowincjom; — miecz i kajdany — Rzymowi! W tym wielkość państwa i bezpieczeństwo Cezara.

Dość długo jeszcze Abakantus udzielał Cezarowi wieści i sprawozdań przybyłych z różnych stron świata. W komnacie tej zbiegały się wszystkie nici poruszające olbrzymią maszyną państwową; pomiędzy dwoma znajdującymi się w niej ludźmi kołysały się wagi niewidzialne podnoszące w górę i opuszczające w dół losy jednostek i ludów. Znad Eufratu, Jordanu, Dunaju, Nilu, Tagu... znad brzegów mórz kilku, z mnóstwa miast wielkich i kwitnących, z rozrzuconych po nieźmiernych obszarach wódzich jeszcze ziem kolonii wojskowych przybywały tu cyfry, plany, zapytania, prośby, skargi. Tu i ówdzie duch szpiegostwa i donosicielstwa wychylał z pergaminów zgrzytającą swą paszczę. Każdy rządca prowincji i każdy dowódca armii przy boku swym miał legata, czyli pomocnika i adiutanta, będącego zarazem okiem i uchem cesarskim. Za plecami legata, w cieniu niskich stanowisk mnóstwo ust i rąk szeptało i pisało w tajemnicy, w tej tylko komnacie wysunąć się mającej na światło dzienne. W odpowiedzi szły też stąd rozkazy, przestrogi, groźby, wyroki. Najważniejsze z nich i najtajemniejsze tu, pod okiem pana swego pisał Abakantus, inne pozostawiając liczny adiutorom swym, sekretarzom, redaktorom i skribom. Pisał on pięknie, wprawnie, wytwornie; pióro jego posiadało obfitość i zręczność retora i chłód epikurejczyka, z sercem niedostępnym żalowi, a z katowskiego nawet miecza usiłującym wyssać kroplę słodyczy. Pióro to było głównym narzędziem świetnych losów wyzwolenca, bo ozdobną zasłoną okrywało grubą nieumiejętność pana jego. Domicjan nie pisał sam nic, a pomysły swe i żądania zaledwie w formie suchej i koszlawej wypowiadać był zdolny. Niemniej w zawile sprawy państwa swego wpatrywał się okiem, którego bystrość i pilność potęgowały ambicja i trwoga.

Przed Abakantusem pozostał już tylko jeden nie przeczytany papier. Biorąc go w białe ręce swe cichszym niż dotąd głosem i nie podnosząc powiek zaczął:

— „Nikotas, niewolnik legata twego, w północnej Germanii“...

Urwał, bo plebejuszowskie imię, które wymówił, wywarło na Domicjanie wrażenie silne. Podniósł się, usiadł na łożu, rysy jego wyprężyły się jak u człowieka, który skupia wszystkie władze umysłu swego.

— Dlaczego nie czytasz dalej? — zawołał.

— Wieści niedobre... Zasmucać cię, panie mój...

— Czytaj!

W wykrzyku tym zabrzmiał niby grzmot zbliżającej się burzy.
Abakantus czytał:

„Nikotas, niewolnik Wirusa, adiutanta Antoniusza Saturnina, możnemu Abakantusowi donosi: pan mój, Wirus, zawarł z Saturninem przymierze przyjaźni i dwie dusze ich są jedną duszą. Niechaj najmędrszy Cezar, pan bóg świata i możny prokurator jego, Abakantus, nie ufają szczerości Wirusa. Ja to, jak już dwa razy odsłaniałem, tak i dalej odsłaniać będę występne zamiary dwóch tych ludzi. W legionach naszych dzieje się źle. Trybunowie i centurioni przy udanych uctwach u Saturnina zamiast jeść, pić i weselić się z nachmurzonymi czołami rozmawiają z sobą po cichu. Przy stołach biesiadnych usługują sami tylko nieuczenni Latyni, a to dla tego, aby dowódca, legat i trybuni mówiący z sobą po grecku rozumianymi nie byli. Centurioni nie rozumieją po grecku, ale za Saturninem poszliby ochotnie w czeluści Erebu i ich to dziełem jest, jako też i trybunów, że w trybach, centuriach i manipulach żołnierze przysięgają się tylko na Saturnina i dwadzieścia już posągów jego w obozie postawili. On zna ich wszystkich, każdego po imieniu wita, a oni go w ręce jak ojca całują. O tym wszystkim donosiłem już wprzód, ale trwa to ciągle. Nową jest rzeczą, iż jeden z trybunów potajemnie przebył Ren i naradzał się z wodzem germańskiego plemienia Tungrów. Wszyscy tu u nas wiedzą, że Tungrowie schodzą się po lasach i gotują się do wojny. Po powrocie zza Renu trybun przyszedł do pana mego, Wirusa, z którym zaczęli niby grać w latruncule. Ale ja dobrze widziałem, że kryształowe pionki były w ich rękach tym samym, czym jest maska na twarzy histriona. Stałem za oponą i posłyszałem trochę z ich rozmowy, bo choć mówili po grecku, ale mnie pan mój, Wirus, rozumieć język ten nauczył. Mówili o Tungrach i o tym, że Ren w tym roku wcześniej zamarnie... wspominali Rzym, Cezara, senat... wymawiali wyrazy: hańba, upodlenie... na koniec schwyciwszy czary swe wyleli z nich wino na ołtarz domowy Wirusa i posłyszałem, jak szeptali: „Tobie w ofierze, Jowiszu Wyzwalający!“ Potem z rozradowanymi twarzami poszli obaj do Saturnina, gdzie było wielkie zgromadzenie oficerów i przesiadzieli tam do północy. Naza jutrz z rana Saturnin, niby w rocznicę urodzich swoich, rozdał żołnierzom po sto sestercji na każdego, a oni go na tarczach swych po obozie nosili... Wczoraj w pobliżu obozu ukazywali się ludzie nieznani. Byli to wysłannicy wodza Tungrów. Dziś Saturnin w tajemnicy, która przecież oku mojemu nie umknęła, wysłał jednego z wyzwolenców swych do dowódcy dwu legii obozujących w kraju Hermundurów. O Hermundurach słyść także“..

Tu kartka pergaminu okryta niekształtnym i niepoprawnym pismem niewolnika zniknęła z rąk Abakantusa. Domicjan poskoczył z łoża, pochwycił ją, z chrzęstem zgniótł w dłoni i rzucił w twarz swego ministra.

— Niech cię za wiadomości takie Eumenidy wężami swymi oplotą! — krzyknął.

Ręce mu drżały, oczy jego spośród okrywających twarz płam czerwonych ciskały wężykowate, straszne błyskawice. Ani gniew Cezara, ani uderzenie twardego pergaminu o policzek jego nie zmaciły zimnej krwi Abakantusa. Wstał i z powolnym, acz bardzo niskim pokłonem spokojnie wymówił:

— Władco świata! Nieograniczona dobroć twoja płodzi występki ludzkie. Po otrzymaniu od Nikotasa doniesienia pierwszego najwyższej mądrości twojej doradzać śmiałem, abyś wyjął dowództwo legii z rąk Saturnina i przywołał go do Rzymu. Władcy świata łaskawym być przystoi. Lecz szczęście rzymskiego państwa srogości twojej wymaga...

W szczerości pochlebstw i spokojnej pokorze Abakantusa było coś, co uspakajało uniesienie Domicjana.

— Na Minerwę — zawołał — masz słuszność ty, wierny! Zbyt dobry jestem... Należało mi pamiętać o tym, że Saturninus ten to Rzymianin i jeden z tych, którym⁵³ rządy dwunastu już cesarów głupstwa z głów wymieść nie mogły... Zbyt dobry byłem... Należało mi od razu przywołać go, przed senatem postawić... Regulusowi lub Karusowi oskarżenie go powierzyć... Na Minerwę i Junonę uczyniłbym to... gdyby... Tu spuścił głowę i półgłosem, do siebie więcej niż do Abakantusa, dodał:

— Gdybym nie czuł w powietrzu wspomnień o dobroci brata mego, Tytusa... gdybym zapomnieć mógł, jak po skazaniu na śmierć Salwidiusza, synowca Ottonowego, w powietrzu rozlegał się szept: „Słodki Tytus nie uczyniłby tego!“

Zmiał w dłoniach fałdę chlamidy.

— Abakantusie! Saturnin i Wirus niech natychmiast przybywają do Rzymu... Z rozkazem wysłać szybkiego Spendofora mego... niech leci... niech koniom skrzydła przypina... niech wiezie z sobą rozkaz inspektora poczt, aby mu wszędzie najlepsze dawano konie... Prędej, Abakantusie! Pisz... Wysyłaj... Śpiesz... Może za późno już. Może bunt już podniesiony! Może Saturninus z Tungrami i Hermondurami [!] na Rzym już idzie! Może...

Tu oczy jego rozszerzyły się pod wpływem uczutej nagle grozy.

— Może i z mieszkańcami Rzymu buntownicy w porozumienie już wchodzą...

Abakantus poważny stał i zamyślony.

— Panie mój! — rzekł — w chwili tak ważnej porusz wszystkie sprężyny sieci tej, którą mądrość twoja stolicę państwa osnuła. Przed obliczność przyzwij Regula i Karusa...

Domicjan klasnął w dłoń. W mgnieniu oka jedna z kwiecistych opon podniosła się i w drzwiach stanął człowiek w bieli i w złocie cały, z wyrazem niskiej, służalczej pokory na obliczu o twardych i dumnych rysach. Był to Parteniusz, cubicularius, czyli pierwszy pokojowiec Cezara.

⁵³ W kopii Siemaszkówny błędnie: „który mu“.

— Marek Regulus! — rzucając się na łożo krótko wyrzekł Domicjan.

Parteniusz zniknął, Abakantus pisał, Cezar — na wznak leżąc — na wąskich ustach miał uśmiech dziwny i podnosząc nieco ramię ostrzem stylu ścigał muchę brzęczącą nad łożem jego w świetle wąskiej smugi słonecznej. Ostrze stylu przeszło owad [!] igrający w pierwszym blasku dnia, a w piersi Cezara ozwało się rżerzenie cichego, głębokiego, długiego śmiechu... Ochłonął z gniewu i trwogi, czekał wieści, układał może plany.

[ZAKOŃCZENIE ROZDZIAŁU CZWARTEGO]

[K. 169—174 = 122—127; K. 127—143]

Mnóstwo ludzi kupiło się u drzwi wchodowych witając wchodzącego na podwórzec Marka Regula. Zazwyczaj on tu bywał jednym z pierwszych. Dziś spóźnił się. Niejeden z optimatów opuścił swą ławę i spieszył ku niemu z uniżonym prawie: Salve! Ministrowie przesłali mu ręką uprzejme całusy. Wysocy urzędnicy otaczając go gwarным kołem usiłowali stać się niskimi. Latinus, Karus, Marcjalis w mgnieniu oka znaleźli się u jego boku; najstarszy z medyków dworskich czule zapytywał o zdrowie jego syna. Zrazu na zmięte i spalone oblicze cesarskiego rzecznika spadł wyraz błęgiego zadowolenia i z cienia białej opaski szmaragdowe oczy jego rzuciły parę spojrzeń rozradowanych, tryumfujących. Wnet przecież krótko i z roztargnieniem odpowiadając licznym przemawiającym do niego głosom — szklisty wzrok utkwił w przestrzeni i zdawał się być ogarniętym chmurnym, lecz błogim także marzeniem. W tym przecież miejscu niczyja zaduma długo trwać nie mogła. Przerwał ją Regulusowi dźwięczny, pieszczony, niewieści prawie głos młodego, zgrabnego, wystrojonego i z nieźmierną sztuką utrefionego człowieka. Był to Metiusz Karus, prawnik i mówca, współzawodnik Regulusa na cesarskim dworze. Wykwintnym gestem wypieszczonej i pierścieniami okrytej ręki witając przybyłego zawołał:

— Spóźniłeś się, Marku Regulu... czy to cię pieszczoty Tuliola twego od służby należnej panu i bogu naszemu odwodzą?

W wesolym tym niby i przyjacielskim żarcie brzmiało zjadliwe szyderstwo. Regulus z drgającą powieką i nienawistnym spojrzeniem w niewieścią twarz przeciwnika wbitym porywczym, namiętym odpowiedział:

— Dziwi mię, Karusie, że ci wyskubywanie włosów ze skóry i trefienie kędziorów na służbę panu i bogu naszemu czas pozostawia!

Powieki najbliższych w dół opadły. Nikt nie chciał biorąc stronę jednego z ludzi tych obrażać drugiego. Na szczęście przyskoczył tam w tej chwili żwawy Marcjalis, ze zwykłym sobie drwiącym, a trochę boleśnym wyrazem twarzy pergamin swój Regulusowi podając zawołał:

— O Regulusie! zanieś ty do sanktuarium boga naszego skromne to pisemko moje! Ty poznać umiesz, gdy na czoło Jowisza spłynie pogoda... w takiej jeszcze chwili, proszę cię, nie przedstawiaj mu kartki tej wprost i natarczywie, lecz... trzymaj ją w ręku... tak sobie... z niechcenia, a pewny jestem, że gdy tylko oczy mistrza dziewięciu sióstr Helikońskich spostrzegą...

Nie skończył, bo otaczający tłum rozstępował się spieszenie czyniąc drogę dążącemu w tę stronę Parteniuszowi.

Wszystkie oczy z wytężonym oczekiwaniem tkwiły w twarzy pierwszego pokojowca, który stanąwszy przed Regulusem przyzwał go przed obliczność Cezara.

W mgnieniu oka Regulus zniknął z tłumu, Parteniusza w zamian otoczono gromadnie zagłuszając go pytaniami o sen, zdrowie i humor Cezara. Marcjalis trzymał go teraz za fałdę ubrania i żebrał:

— O Parteniuszu! Zanieś ty do sanktuarium boga naszego skromne to pisemko moje... Ty poznać umiesz, gdy na czoło Jowisza spływa pogoda...

Lecz z drugiej strony Stacjusz pochylał się nad biało-złocistą tuniką pokojowca i przed oczy jego wysuwając bogato oprawną książkę z godnością szepnął:

— Żadnej z książek moich nie rozpocząłem bez wezwania świętego imienia jego... lecz oto w tej chwałę Cezara opiewam w trzech pieśniach... W pierwszej z nich klękam przed 17-m konsulatem naszego Germanikusa, w drugiej...

— Parteniuszu... — poruszeniem każdym rozwiewając dokoła wykwintne wonności, którymi był oblany, zawołał Metiusz Karus — powiedz, proszę cię, Ulubieńcowi Minerwy, że błagam go, aby mi dziś udzielił chwili posłuchania.

Marcjalis przytrzymując za laticlavę senatora Katullusa, który go mijał, i palcem wskazując Stacjusza szeptał:

— Ulisses uniknął syren o złowieszczych ponętach, uniknął tych, których śpiewowi nikt oprzeć się nie zdołał. Nie dziwię się temu. Dziwiłbym się dopiero, Katullusie, gdyby uniknąć on potrafił Stacjusza prawiącego o wierszach swoich...

Katullus śpieszył, aby pozdrowić Parteniusza, lecz mocno nie dowidząc kilka pokłonów oddał świecącemu też bielą i złotym ubraniu Latinusowi. Baletnik zachwycony zaszczytem, który go spotkał, napuszył się hardo przed poważnym Kryspusem, który z uniżoną prawie grzecznością zabawiał rozmową swą starego Etruska. Optymaci nisko chyliłi tu dumne swe czoła przed wyzwolencami; komedianci pysznie wynosili się nad senatorów; czynni i biegli urzędnicy państwa kołem usługowym otaczali zauszników; poeci z iskrą geniusza w piersi ślali się niemal pod stopy pokojowca, bo ani ród, ani urząd, ani geniusz nie był tu miarą dostojności i bezpieczeństwa, tylko stopień łaski posiadanej u pana.

Tymczasem w pracowni cesarskiej Markus Regulus na oba kolana klęczał przed stosem tyryjskich purpur i z twarzą schyloną nisko drżące wargi przykładał do zwisającej z łoża ręki Cezara.

Nigdy aż do panowania tego dwunastego z cesarów żaden obywatel rzymski zmuszonym nie widział się upadać na klęczki i czołem dotykać prochu spadłego z sandałów mocarza. Nie Oktawiusz to mądry i giętki żądać by mógł na świeżych jeszcze gruzach rzeczypospolitej czolobitności takiej — ani przystałby na nią ponury i srogi, lecz rozumny i wytworny Tyberiusz; nie pragnął jej zbiedzony w wielkości swej Klaudiusz, nawet Neron, ten krwawy szaleniec, jeszcze wymagać jej nie śmiał. Lecz z upływem czasu święte gruzy przeszłości stygły, a z dala, z Syrii i Chaldei, z potężnej jeszcze Persji Wschód niewolniczy płynął falą coraz szerszą, cięższą...

Odjął Regulus od ręki pana usta swe i czoło z nad ziemi podniósł, lecz z klęzek nie powstał i daremnie wzrokiem kornym spotkać się usiłował z cesarskim spójrzeniem; Domicjan oczami błędził po drgającej w powietrzu smudze słonecznej upatrując w niej muchy, którą przekłuć by mógł trzymanym w rękę stylem.

— Panie i boże! Szczęsny ulubieńcze Minerwy! pragnąłbym raczej poświęcić się duchom podziemnym niżbym miał zasmucać ojcowskie twe serce. Ale, ojczyzno, szczęście Rzymu wymaga teraz od ciebie, abyś boskie ucho twe otworzył na wieści, które ci przynoszę...

Nie zmieniając kierunku wejrzenia i nie opuszczając stylu ostrzem ku górze sterczącego — Domicjan w milczeniu skinął głową.

Regulus trwożnie ścigając grę uczuć wybijającą się na rysy pana zająkliwie zrazu, coraz płynniej potem i zarazem coraz ciszej mówić zaczął. Stopniowo też błędząc po słonecznej smudze oczy Domicjana spuszczać się zaczęły ku twarzy mówiącego, stopniowo, powoli wysoka i ocieżyła postać jego podnosić się zaczęła, tak jakby ze stosu purpur i złota wyrastała i olbrzymiała. Styl wypadł mu z palców i cicho spłynął na perski kobierzec. Usta jednak Cezara nie otwierały się jeszcze, owszem, pobladłe zaciskały się w linię coraz węższą. Na koniec bez najłżejszego wybuchu głosu, z przeciągłym tylko syknięciem Domicjan przemówił:

— Trzeba mi Greka tego, Regulusie... [na krzyż tego podłego ajenta zdrajcy!] ⁵⁴.

Znowu znieruchomiał i tylko od czasu do czasu urywanymi wyrazami przerywał mowę Regulusa.

— Zona młodego Etruska! a cóżem ja złego uczynił tej nieskazitelnej?

Zaśmiał się cichym, głębokim rżeniem. Potem w odpowiedź na wymówione imię Eliusza Lamii zapytał:

— Czy ten rany swej nie zalał jeszcze winem?

A po chwili milczenia do siebie wyszeptał wiersz starego poety:

— „Najgorszym z wrogów ten, który na twarzy śmiech, a w sercu jad nosi!“

⁵⁴ Wyrażenie umieszczone w nawiasie zostało podane za kopią. Autograf bowiem brzmi: „na krzyż tego na krzyż tego podłego ajenta podłego tego ajenta zdrajcy — na krzyż! Na krzyż tego podłego ajenta zdrajcy!“; lecz ostatecznie cały ten tekst jest skreślony.

— Wysłaniec mój w cyprysach skryty widział młodego patrycjusza długo i smutnie dumającego przed grobowcem[!] ⁵⁶ rodu... Był to ten sam, który, panie i boże, pod rządami twymi urzędu żadnego piastować nie chciał nigdy, który w rządzie przyjaciół twych, chociaż mu na to urodzenie jego praw udzielało, stanąć nie starał się nigdy, który w ostatnim dniu igrzysk rzymskich stronnictwo twoje i ulubionego twego woźnicę w cyrkowych zapasach zwyciężyć śmiał...

Zaciśnięte wargi Cezara zaledwie dostrzegalnie rozchyliły się wymawiając:

— Pamiętam...

— We wnętrzu grobowca wysłaniec mój dostrzegł przez drzwi otwarte żonę młodego Etruska...

— Znowu ona!

— Ona i ów czciciel jaszczurczego rodu rozmawiali z sobą długo... Grube mury grobowca żadnego wyrazu z ich rozmowy do uszu wysłańca mego nie dopuściły... lecz potem nadszedł żalobny korowód ceniom Trazeusza niosący dary w rocznicę jego zgonu...

Ku sufitowi oczy wznosząc Cezar wymówił:

— Ty widzisz, Minerwo, jak mię krzywdzą dzieci moje, pod rządami mymi oddają cześć ceniom gadu, który kąsał jednego z poprzedników moich...

— Były tam Arria i Fannia...

— Smutne wdowy!

— Młody Helwidiusz...

— Latorośl ściętych dębów...

— Muzoniusz Rufus...

— Żużel, którego boski ojciec mój zimną wodą polewał...

— Tacytus i Pliniusz...

— Niewdzięcznicy! pod rządami mymi na kurulnych krzesłach zasiedli...

— Księgarz Atrektus...

— Śmieszna małpa...

— Histrion cyrkowy, przemieniony w Trazeuszowego czciciela, w głośniejszy niby modlitwie duszę swą składał w darze ceniom Trazeusza... Panie i boże! Tego imię wyryj najgłębiej w mściwej swej pamięci!...

— Co? Na Minerwę! ty krótkowidzący! głębiej niż Lami smiertelnie obrażonego, niż Muzoniusza, podpalacza umysłów, niż Helwidiusza, naturalnego mściciela swoich, ryć mam w pamięci swej imię tego... Ardeliona?

Drgającą powiekę swą Regulus zakryć musiał całkiem białą opaską; twarz miał w płomieniu, ręce mu drżały.

— „Najgorszym z wrogów ten, który uśmiech na twarzy, a jad w duszy nosi!“ — powtórzył.

Silący się na gorliwość i zapal, gdy mówił o innych, teraz uniósł się namiętnością niepohamowaną. Wstał z klęczek.

⁵⁶ Wyraz nieczytelny odczytany przez kopistkę błędnie: „swego“. Powinno być zapewne „Trazeuszowego“.

— Panie świata! — rozpościerając ramiona i z wybuchem głosu zawołał — w żyłach Juniuszów płynie krew buntownicza... gady to są... podle sępy, zapuszczające szpony w serca dziecinne... Wierny sługa twój, panie, przed boski majestat twój skargę zanosi... Czternastoletni Morykus, brat Arulena, śmiertelnie zranił mi syna. Dziecko w półżywe przyniesiono mi do domu... Panie! on śmiał Tuliola mego uczyć pogardy dla mnie, za to...

Domicjan nagle zwrócił się ku mówiącemu i w twarz jego wpił szyderskie spójrzenie.

— Czy zwariowałeś ty, wzorze ojcostwa! chcesz mię opowiadaniem kłótni dziecięcych zabawiać?

Regulus, który ostatnie wyrazy swe ze wściekłością w oczach wymawiał, umilkł, ramiona opuścił i głowę kornie pochylił.

Ze schyloną głową i wzrokiem wbitym w ziemię ponuro i krótko przemówił jeszcze:

— Wysłaniec mój przed świtem stał już u drzwi Juniusza i widział Lamię wchodzącego do domu jego... Wrogowie twoi, panie i boże, porozumiewają się z sobą, skupiają, szepcą...

— Kto oprócz Lamii wchodził dziś do domu Juniusza?

— Wysłannik mój stanowisko swe opuścić musiał, aby pośpieszyć do mnie. Oczekując przyjscia jego spóźniłem się dziś z przestąpieniem wspaniałych twych progów...

— Zapewne też zatrzymał cię przy sobie Tuliolus twój — jadowicie syknął Domicjan.

Jedynie widzialne oko Regulusa zaszło wilgocią, zawahał się przez sekundę, a potem cicho bardzo i kornie szepnął tylko:

— Chory...

Cezar podniósł się całkiem na łożu, usiadł. Dziwnie w tej chwili wyglądał. Wściekle rzucając się tygrysa byłoby mniej straszniejszym niż znieruchomiałość ciężkiego ciała jego, po którym krwiste fałdy chlamidy spływały jak po kamiennym posągu. Ryki lwie byłyby mniej straszniejszymi niż kamienna cisza jego głowy, którą od brzegów szerokiej łysiny po brzegi wylaniających się z purpury ramion okryła ciemna, nieruchoma czerwoność. A pośród tej krwistej maski oczy jego paliły się całe nie w błyskawicach piorunów, lecz w migocących, krętych światelkach, do ruchomego zwoju węzów podobnych. Zazwyczaj Domicjan popędliwy był i do wybuchów skóry. Lecz gniewy jego miały kres pewien, na którym tężały niby w nieruchomość i ciszę, a wtedy dopiero widzowie bledli... Teraz Regulus jak ciemne widmo z białą na głowie opaską stał chwiejący się i błady; Abakantus podniósłszy oczy znad pergaminu jakby szmerem najłżejszym o swej tu obecności przypomnieć lękał się, rękę, trzymającą trzcinkę, którą pisał, w powietrzu zawiesił. Nad zwojami ciemnych purpur tyryjskich skamieniała, czerwona głowa, z kłębami b'yszczących węzów w oczach, dumiała długo. Komnatę zaległa cisza nieskazitelna, przerywana tylko brzęczeniem muchy, igrającej w s'onecznym promieniu. Ale teraz Cezar nie słyszał brzęczenia owadu, ku któremu w innej chwili skierowałby stalowe lub kościane ostrze. Powolnym ruchem wyciągnął

on rękę ku pulpitowi, wziął tabliczkę drewnianą i wyrył na niej wyrazów kilkadziesiąt, poczem tabliczkę skrył za chlamidą u piersi i stopniowo stygnąc, blednąc, z kipiącej jakby kąpieli wychodząc zwrócił twarz ku ministrowi swemu.

— Rozkaz mój do Saturninusa...

Abakantus z zapisanym papierem w rękę powstał.

Szybko podpisał Domicjan akt odwołania z urzędu jednego z głównych dowódców armii rzymskiej. Uśmiechał się już zaciśniętymi ustami, bladą miał twarz i w spuszczonej powiekach wyraz łagodnej skromności. Wstał i u jednych z drzwi chciał podnieść opone. Lecz Regulus z żywym poruszeniem przypadł ku niemu i na klęczki padając, ze schyloną ku ziemi twarzą mówić zaczął:

— Pozwól mi, o wszechmocny, przypomnieć ci obietnicę twoją... Dość mi szczęścia służyć najlepszemu z panów, ale — ty wiesz! — korzeń drzewa wysysa z ziemi soki, aby bujnie wzrastały konary jego... W rycerskim stanie urodziłem się, a wzdycham do senatorskiej godności... nie dla siebie... bo dość mi szczęścia, że patrzeć mogę w oblicze twoje, ale...

Tu Cezar, który pogardliwie spoglądał na chylącą się mu aż do stóp głowę rzymskiego rycerza, mowę jego przerwał wołaniem:

— Parteniuszu, chcę widzieć przyjaciół moich!

Wtedy pałac zakipiał ruchem. W westybulum z honorowej ławy swej powstali optymaci, z wirującego tłumu wydzielali się najwyżsi urzędnicy wojskowi i cywilni. Wiele drzwi i portyków dzieliło podwórzec od sali, w której łysinę swą okrywając koroną z wizerunkami Jowisza, Minerwy i Junony, w pysznym swym stroju greckim i w stojącej postawie Cezar przyjmował pozdrowienia i holdy przyjaciół swych udzielając w zamian każdemu z nich tradycyjne pocałowanie w policzek. U każdych z drzwi i wśród kolumn każdego z portyków od stóp do głowy zbrojne stały nieruchome postacie żołnierskie, a pomiędzy nimi nomenklatorowie w białej ze złotem liberii donośnym głosem z kolei przesłali sobie imiona wstępujących do pałacu gości. Były to w większej części imiona prastare, brzmiące zasługami przodków lub dostojeństwem i talentami własnymi sławne. Imiona Nerwów, Cynnow, Windesów, Krispusów, Tacytów, Pliniusów, Titusów, imiona pomimo wszystko czyste jeszcze, albo i wspaniałe i te także, na których starej sławie osiadły rdzawe plamy, z ust do ust donośnymi głosami podawane, toczyły się niby po malowaniach okrytych lub ze szkła lanych posadzkach, obijały się o ściany iskrzące się okrywającym je złotem, konały pod sufitami nużącymi wzrok wysokością swą, diamentową grą światła w zabarwionych szybach, zawrotnym chaosem linii wijącym ornamentykę z fantazją pożyczoną u Wschodu.

Jednak w atrium pałacowym stojący zegar wodny nie dokonał jeszcze trzech obrotów swoich, z których każdy trwał minut dwadzieścia, gdy Domicjan w ociekającym złoceniami, lecz małym trichlioniem w towarzystwie jednego z ministrów swych i jak klejnocik wyglądającego Karusa zasiadł do porannego posiłku. Była to jedyna pora dnia, w której jadał wiele; potem w porze przedwieczornej, gdy

cały Rzym obiadował i ucztował, zadawałniał się czarą wina i jedynym owocem. Na złotych więc naczyniach, których używanie było prerogatywą cesarskiego domu, prywatnym przez osobną ustawę wzbronioną, nieliczni i jak cienie cisi słudzy wnosili i podawali olbrzymie ilości najwytworniejszych i najkosztowniejszych potraw, na jakie zdobyć się mógł świat spółczesny. Tym razem jednak przeciw zwyczajowi swemu Cezar jadł mało i daremnie także podczaszy jego, piękny jak marzenie chłopiec, z potokiem długich, złocistych włosów, nalewał mu do czar ulubione wina; bledszymi niż zwykle wargami dotykał on zaledwie brzegów czar. Była to jedyna oznaka, zdradzająca wyjątkowy w dniu tym stan jego umysłu. Zresztą łaskawie słuchał on obfitego szczebiotania Karusa. Leniwiec ten i strojny rozkoszniś, uszczęśliwiony zaszczytem zasiadania przy cesarskim stole, który zresztą spotykał go nierzadko, pieszczoną mową swą opowiadał nowinki miejskie, czerpane z nieprzebranego źródła stolicznych [!] skandalów. Mówiąc oglądał często śnieżne i pierścieniami okryte swe ręce albo poprawiał układ woniejących i jak u kobiety aż na ramiona spływających kędziorów.

Cezar mu przerwał szczebiot wykwintny i melodyjny.

— Abakantusie — rzekł — chciałbym tak pięknym być, jak pięknym sobie samemu wydaje się Metius!

Na usta ministra żart ten wywołał blady tylko uśmiech, ale Karus rozplynął się w wychwalaniu piękności Cezara. W chwili, gdy giętki istotnie język jego dokonywał najpiękniejszego, retorycznego zwrotu, Cezar przerwał mu znowu:

— Metiusie! czy na palcach swych masz jeszcze letnie swe pierścienie lub też może zmieniłeś je na zimowe?

— Gdybyś mi, panie i boże, żelaznymi łańcuchy okrył ręce i nogi — wesoło odpowiedział Karus — ohotnie nosiłbym je na twój rozkaz w lecie i zimie. Ale pierścieni, których używam, gdy wieje ostry Auster, dźwigać przy upalnym powiewie Afrikusa nie mam siły. Te, które widzisz, panie świata, są jeszcze letnimi...

Cezar uśmiechnął się i niedbale rzucił:

— Bawisz mię!

W tejsze chwili z łoża, na którym był rozciągnięty, schylił się nisko i szeptać coś zaczął. Zdawałoby się jakoby tajemnicę jakąś powierzał okrywającemu posadzkę kobiercowi. Lecz na kobiercu, o wyłożone łożo wsparte, siedziało dziwne, potworne stworzenie: karzełek z malutką głową, dziecięcą, słodką twarzą, z ciężkimi, kalekimi członkami, owiniętymi w bogatą tkaninę. Gdy Cezar pochylił się ku niemu, on źrenice jak niebo błękitne ku twarzy pana swego podniósł, różowymi ustami poruszył, ale nic nie rzekł. Niemy był. Do niemego, kalekiego dziecka Cezar szeptał:

— Jem, piję i rozmawiam, Ganimedku, a do serca mego sączy jad swój hydra Lernejska...

Podniósł się i lewym ramieniem wsparty znowu o poduszki i łoża, wpatrzył się w Metiusa.

— Dlaczegoż, najpiękniejszy! nie mówisz mi nic o przykrości, którą ci zrzucił Hereniusz Senekion? Opowiadał mi o tym Latinus. Nie tylko z przyczyny tego rywala swego przegrałeś przed centurionami proces, którego wygranie dać by ci mogło kupę sestercji i szczyptę sławy, ale w dodatku określił cię bardzo zabawnie: „Mówca — rzekł podobno na ciebie wskazując — złym jest wprawdzie człowiekiem, ale wzamian nie zna wcale sztuki mówienia“. Śmiało się Cezar mówiąc to, a białej i gładkiej twarzyczce Karusa śmiesznie było z wyrazem poważnego niby smutku, który ją okrył. Po chwili z uroczystym gestem wymówił:

— Oby mnie tylko kąsały żmije zamieszkujące usta tego — Cyclerona!

Cezar parsknął śmiechem...

— Bawisz mię, ty dziewczyno, którą bożek przyrody przez omyłkę męczyzną uczynił! Jakiś ty zabawny z tym oratorskim gestem swoim! Ale — na Loqueusa! język twój szybkim jest jak koło cyrkowej kwadrygi! Chciałbym wiedzieć, kogo jeszcze prócz ciebie kąsają żmije Senekionowe?

— Ciebie, panie i boże — śmiało patrząc w twarz Cezara odpowiedział Metius. — Na własne uszy słyszałem go w bibliotece wychwalającego czyny i życie Helwidiusza Priska. Kto chwali Helwidiuszów — przygania tobie.

— Pędź, kwadrygo, pędź — pędziej! Cóż dalej?

Z zabawnymi gestami i minami Karus przedrzeźniać zaczął Senekiona, w publicznych przemówieniach swych naśladowującego sposób mówienia i zachowywania się mówców dawnych w ogóle, a Cyclerona w szczególności. Zjadliwy i lekki dowcip jego, poparty odpowiednią mimiką, zdawał się bawić Cezara. Przecież usta jego zacisnęły się i para czerwonych plam wystąpiła na czoło, gdy Karus opowiadanie swe kończąc zawołał:

— Dziś spiesząc do pałacu twego, panie i boże, spotkałem go śpieszącego także — ale we wcale inną stronę. Wszedł on do domu Janiusza Arulena, gdzie zapewne wspólnie z Lamią, który go tam poprzedził, zjadliwymi języki kąsać będą wszystko, co nad nich potężniejsze i wyższe...

Tu Cezar przerwał szczebiotanie zausznika swego zwracając się do stojącego w pobliżu Parteniusza:

— Jakiż to papier tak od niechcienia nasuwasz mi przed oczy? — zapytał.

— Waleriusz Marcjalis... — zaczął Parteniusz.

Ale Domicjan wychwyciwszy z rąk jego ozdobny zeszytek pergaminowy z pięciu kartek złożony i rzuciwszy go przed Abakantusa pochylał się znowu ku ziemi i do ziemi jakby, a w istocie do karła swego szepnął:

— Jeszcze jeden, Ganimedku... papugi miewają czasem złote języki...

Wyprostował się i oczami dał znak Abakantusowi, który powoli, lecz wyborną deklamacją czytać zaczął utwór poety-dworaka.

— „Żartuj sobie, Cezarze, z cudownych piramid przez egipskich mocarzy wzniesionych i niech nikt już ani wspomina o tych pomnikach barbarzyńskiej pychy! Czymże są ciężkie bryły ich obok twojego pałacu? Nic piękniejszego na ziemi nie oświeca słońce... Rzekłbyś, że spiętrzyło się tu siedm pagórków rzymskich i mniej wyniosłą jest Ossa zwieńczona Pelionem. Mieszkanie twe strzela w powietrze, czołem gwiazd dotyka, spokojnie słucha chmury u stóp jego grzmiącej i kąpie się w blaskach Febusa wtedy już, gdy żadne oko jeszcze dostrzec ich nie może. Cezarze! pałac ten szczytem swym bijący w niebo równym jest niebu, lecz mniejszym od ciebie!“

— Wdzięcznie! prawdziwie! zachwycająco! — z uniesieniem zawołał Karus.

— ...,równym jest niebu, lecz mniejszym od ciebie“ — z głębokim zadowoleniem powtórzył Abakantus.

Domicjan z wypogodzoną twarzą rzekł:

— Marcjalis jest ozdobą wieku naszego — i zwracając się do Parteniusza dodał:

— Pomów z księciem cesarskich darów o wysłaniu Marcjalisowi cennego podarunku...

Parteniusz z niskim pokłonem podał mu pysznie oprawny zwój papieru.

— Papiniusz Stacjusz...

Domicjan oddał książkę Karusowi, który też dźwięcznie, pieszczotliwie, z wdziękiem lekkim i wytwornym przeczytał dość długą „sylwę“ przez autora „Tebaidy“ na cześć Cezara ułożoną.

Zaledwie czytać skończył, Domicjan rękę z czarą wyciągnął ku podczasemu, a gdy ten pochylił nad nią amforę, grubą warstwą pyłu i pleśni okrytą, zwołał:

— Parteniuszu! niechaj jutro autor „Tebaidy“ zasiądzie u stołu mego! Chcę, aby iskra Apollina zagorzała w nim ogniściej jeszcze od wina tego, które pamięta czasy Tyberiusza... A teraz, rozumny Abakantusie i papużko moja ze złotym językiem, pijcie wraz ze mną z czary mojej! Niech osy i gadziny syczą w cieniach nad brzegami przepaści! Domicjanowi nie brakuje jeszcze wiernych przyjaciół i wielbicieli genialnych!

Pochlebcze pochwały działały nań tak, jak na dziecko strwożone i chore działa pieszcząca dłoń matki. Głaskały one niby członki jego, uciszały burze, rozweselały umysł pyszny i chmurny.

Dobry humor pana spostrzegłszy dozorca cesarskiego stołu, kierujący dotąd poruszeniami służby, szeptać coś zaczął do ucha Parteniuszowi. Spostrzegłszy to Domicjan drgnął. W mgnieniu oka na ryśach jego zmieniły się trwoga i gniew.

— Co to? — krzyknął — jakież to tajemnice?...

Z wyrazem ohydy odsunął od siebie podany mu przed chwilą złoty talerz z grzybami. Otaczający go wiedzieli, że w tej chwili przez pamięć mu przemknęły grzyby, którymi otruto Kla[u]diusza.

Chwilowa wesołość jego jak zakłeta znikła przed trwogą, którą jednak ukryć usiłując nakazującym gestem pożegnał całe swe oto-

czenie i w towarzystwie tylko karła swego, który jak piesek biegł mu za stopami, udał się w stronę pałacowego perystylium. W jednej z sal stanął i przyglądać się począł wielkiemu obrazowi okrywającemu ścianę. Dziwne znać a różnorodne uczucia i myśli napełniały mu pierś i głowę, gdy wzrokiem pełnym namiętnej jakiejś żądzzy i z kolei zjadliwego szyderstwa patrzył on na jaskrawo pałący się śród obrazu stos płomienisty u szczytu zielonej góry Ety rozniecony. Pochyłością góry, w krwawej tunice Nessusa, wstępował ku stosowi zboląły, lecz zawsze potężny Herkules. Gdyby, o gdyby! centaur jakiś jak Nissus Dejanirze ofiarował w darze tunikę taką, on by nią oblekł całe to Brutusowe plemię, którego oddech niespokojny i gniewny wciąż zalał tywał go tu nawet w głębiach pałacu jego — a potem wielogłowy potwór ten pchnąłby mieczami swoich żołnierzy na taką górę jak ta i ku takiemu jak ten stosowi... I cóż mu przeszkadza własnymi dłońmi tunikę taką utkać? Nie jestże panem świata? Nie posiadaż w Rzymie samym 20.000 mieczów i dzid, które na jedno mrugnienie jego powieki rozniosą w powietrzu grady stalowych błyskawic? Nie posiadaż całego tłumu ludzi różnych stanów, których dostojęstwa i majątki na włosku łaski jego wiszą? O szaleńcy! szaleńcy, szaleńcy bezrozumni ci, co na świętą osobę i władzę jego targnąć się próbują! Minerwa sama bronić jej będzie? Bo nie jestże ulubieńcem jej i nie powtarzałyż mu stokrotnie wyroczenie święte, że jak niegdyś Odysa, tak teraz jego okrywa ona niepokonaną swą egidą? A Jowisz? Czyliż świat cały nie nazewa go ulubieńcem, synem nawet tego boga bogów? Wyniosłość niezmierna, dumny spokój boga szydzącego sobie z buntowniczych szmerów wzniecanych przez ziemskie robaki uspokoiły namiętne i trwożne drganie jego członków. Ze wzdargą w zmarszczkach niskiego czoła, z zimnym tylko i drwiącym smutkiem dokoła ust zaciętych, zsunął on z wolna wzrok z gorejącego na obrazie stosu i nagle twarzą jego zatrzęsły znowu uczucia wstrętu i trwogi... W dali, za jakimś długim rzędem kolumn, cicho i szybko przemykał korowód pięknych i strojnych kobiet. Ta, która szła na przedzie, z postaci i stroju podobną była do Afrodyty czarującej i bezwstydej. Szybko znać minąć ona pragnęła progi komnat Cezara, lecz ujrzawszy go ruchem przekory przechyliła cudnie piękną swą głowę, a w uśmiechu różanych jej ust i spójrzeniu, które strzeliło z oczu, było coś, co przypominało przebiegłą jaszczurkę i zarazem śmiertelnie obrażoną boginię. Była to Domicja Longina, niewierna małżonka Lamii, potem niewierna też żona Cezara i czuła kochanka srodze zamordowanego aktora Parysa. Na widok Cezara wpólnagie ciało jej zadrgało jakby wspomnieniem postradanego dostojęstwa czystej i szanowanej matrony, a usiewające suknie jej rubiny błysnęły niby krople krwi, którymi by obryzgała ją spadająca pod mieczem głowa jej kochanka. Przekorny ruch jej głowy zdawał się mówić: „Wygnałeś mię za zdradzenie cię z pałacu swego — ale lud ujął się za mną i oto — jestem tu znowu!“ Spójrzenie jej krzyczało: „Nienawidzę cię za śmierć Parysa!“ a w uśmiechu ust kryła się przepaścista boleść, rzucająca może w głąb serca imię pierwszej miłości jej i pierwszych zaślubin:

„Lamia!“ Niby wcielenie najwyższej piękności kobiecej, od której wiała gorycz trucizny i zemsty, lekka i szybka przemknęła za kolumnami i wraz z jaskrawym i napowietrznym jakby orszakiem swych niewiast zniknęła w złotych mgłach i gęstych zielonościach głębokich ogrodów. Lecz długo jeszcze po jej zniknięciu wysoka i ciężka postać szkarłatną draperią opłynięta, stała przed malowanym płomiennym stosem w nieruchomości kamiennej, z trwogą w źrenicach, ohydą na obwisłych wargach...

Ouciuło ją lekkie szarpnięcie za fałdy chlamidy. Był to karzelek, który zniecierpliwiony nieruchomością pana swego w sposób ten budził go z zadumy. Chmurnie spójrział na niego Domicjan i drżące dłońnie splatając zawołał:

— Panem świata jestem, Ganimedku, panem świata jestem, ulubieńcem Minerwy, synem Jowisza! A lękam się... kobiety! Może mi ona... może mi ona kiedy...

I po chwili z twarzą schyloną cicho dokończył:

— Może mi ona jak Agrypina Klaudiuszowi grzyb zatruty podsunie... O, bogowie! dlaczegoż jak Oktawianowi nie daliście mi kochającej, wiernej, mądrej Liwii!

Nie pierwszy to już był dzień, w którym pan i władca stu kilkudziesięciu milionów ludzi od chwili do chwili uczuwał się jeleńmiem przez tysiączne widma strzelców i sfor obsaczonym w swej kniei. Gdy mu te widma najciężej spadały na pierś wzburzoną i na drżące plecy, spieszył on do schronienia, które dla bezpieczeństwa swego zbudował, w którym uspakajały się bicia jego serca i w uszach cichł wielki szum strachu. Było nim perystylium pałacu, dość dziwny przedstawiające widok. Ogólnie wiadomym było, że pycha jego i smak w dzieciństwie zaniedbany kochały się w blaskach i jaskrawości złota i przysłowiem stało się w Rzymie, że jak drugi Midas przemienił on w złoto wszystko, na cokolwiek upadło jego spójrzenie. Tu przecież, w perystylu, nie było ani kropli tego ulubionego mu metalu. Przestrzenie wolne pomiędzy kolumnami od góry do dołu i ze stron wszystkich wypełnione były olbrzymimi płytami kopanego w Kapadocji pługitu, kamienia, który z białością alabastru łączył przezroczyść szkła. Były to więc zwierciadła, które otaczając tu zewsząd Cezara pozwalały mu widzieć dokładnie wszystko, co działo się dokoła niego. Tu nikt niepostrzeżenie zbliżyć się ku niemu nie mógł, tu wolno mu było bez niebezpieczeństwa oddalić od siebie strażę i służbę i z ponurą rozkoszą oddawać się długim godzinom samotności zupełnej; tu jedynym spójrzeniem ludzkim, z jakim spotkać się mógł, było niewinne, błękitne spójrzenie kalekiego dziecka, które na niskim podnóżku siedząc bawiło się piłką albo puszczeniem na posadzkę złotej wa[r]czącej frygi. W schronieniu tym wpołleżąc na poręczowym krześle godzinami zatapiał się on w czytaniu pamiętników Tyberiusza, któremu dorównać w dyplomatycznym i administracyjnym geniuszu było wielką jego ambicją. A gdy pan jego czytał, Ganimedek opuszczał zabawki swe i wzrokiem niezmordowanym, z powagą dziecka czującego wagność powierzonego mu zadania pa-

trzał w zwierciadło. I zaledwie najpowiewniejszy cień jaki mignął w przezroczystej szybie, zaledwie najlżejszy za nią ozwał się szelest, drobna dłoń dziecka dotykała szkarłatnej sukni mocarza, — zaś podnosił głowę znad papierów jak ktoś z przestrachem budzący się ze snu, patrzył, ucha nadstawiał... Czasem brał dziecko w ramiona, całował je w nieme usta i w bystre oczy, palcem wskazywał mu zwierciadła i czytał dalej. Najczęściej przecież po długiej i pustej przestrzeni tej Domicjan chodził powolnym krokiem, a zwierciadła dokoła i nieskończenie odbijały i przesętały sobie odbicie ciężkiej jego postaci i nieruchomej, ponurej twarzy. Ponuro rozmyślał nad daleką przeszłością swą, wymawiał on niekiedy imiona ojca i brata swego, z syczeniem przeciągłym i przyciszonym, w którym czuć było gniewy, żale i zawiści nigdy usnąć nie mogące. Znać zawzięta dusza jego do śmierci już chować i pieścić musiała urazy zaniedbanego dzieciństwa i młodości strutej widokiem chwały i bohaterstwa brata. Niekiedy znowu do siebie lub ukochanego karła mówił on o Domicji niewiernej i przewrotnej, o hańbie i smutku swego ogniska, o jakiejś Liwii idealnej, którą chciałby znaleźć na świecie i u boku swego umieścić, aby przy wiernym sercu jej spocząć, a czystym jej łonem zasłonić się przed gniewem bogów i nienawiścią Brutusowego plemienia. Dziś przecież całkiem pochłaniała go myśl o teraźniejszości — groźnej istotnie. Mnąc w dłoniach fałdy chlamidy zapytywał siebie, jak mógł dowództwo dwu aż połączonych legii przekłętemu Saturninowi powierzyć? Czy mu piekielna Tyzyfona umysł wtedy obłąkała? Czy rozkaz jego w porę jeszcze tam nad Ren doleci? Czy Saturninus usłucha go jeszcze? czy, jak Galbę...

Pobladał śmiertelnie.

— Tyberiusz zaduszony... Klaudiusz otruty... Neron przebity... Galba rozszarpany... Witeliusz zamordowany... Otton samobójca... O, Minerwo, Kapitołińska królowo, czy ty i Domicjana opuścisz tak, jak opuściłaś tamtych? Astrologów! Augurów! Prędzaj! Niech się zejda! Niech w gwiazdy patrzą i rznaą ofiary... niech...

Za zwierciadłami ozwał się szelest kroków, jedna z szyb przyćmiła się cieniem ludzkiej postaci. Domicjan z obłąkanym wzrokiem jak dziecko przestraszone skrył się za posągiem. Był to posąg ojca jego, Wespazjana, tak twardy i zimny, jak za życia twardym i zimnym on był dla młodszego syna swego. Nic to, syn ten groźny i nienawidzony krył się za marmurowym wyobrażeniem łagodnego i kochanego ojca. Kto tam idzie? Jeżeli zdrajca przez zdradę straży tu wpuszczony, zaklnie go w imię Wespazjana.. Tuż, blisko, wznosi się na wspaniałym piedestalu posąg Tytusa... Lecz temu imieniowi on nawet życia swego zawdzięczać nie chce...

— Ty to jesteś, Parteniuszu!

Cubicularius wszedł na czele sług kilku niosących stół cytrowy z owocami i amfory z winem. Cezar uspokojony wychylił czarę wina, a karłowi swemu dając najsmaczniejsze z owoców i sam powoli jeden z nich zjadając sam na sam i z cicha z pokojowym swym rozmawiał. U końca rozmowy pokojowiec ukląkł i schylony ku ziemi stopy pań-

skiej ustami dotknął. Spotkał go zaszczyt wielki i zaprawdę niespodziewany! Odtąd miał on sobie powierzona straż nad pałacową, wewnętrzną strażą. Odtąd on, pokojowiec Cezara, sądzić miał i karcić tych zbrojnych olbrzymów, którzy w liczbie tysiąca rozsypani byli po pałacowym wnętrzu. Jakim obliczem wieść tę przyjmą: prefekt pretorianów i prefekci straży? Nie myślał o tym ani pan w uczuciu wszechmocy swej nieledwie boskiej i bezsilności nieledwie jeleniej, ani sługa w pysze swej, która przez nowe dostojęństwo te w dwójnasób i w jednej minucie wydeła barczystą postać i twarde jego rysy. Jednak najwyższy ten dowód ufności słuźde swemu dając Domicjan w oczach jego nieufne zatapiał spójrzanie.

— Myśle, Parteniuszu, że masz zdrowy rozsądek?

— Ja kocham cię i wielbię, panie mój!

Wzgardliwy uśmiech syknął w ustach Cezara.

— Na Tyzyfonę! nie pleć głupstw i nie łyżj! Tylko upadek mój ciebie pierwszego zgniótlby... Ministrowie i urzędnicy moi wypłyną na swych zdolnościach, stronnicy moi w senacie na swych wielkich rodach... Regulus, Metius i im podobni wywiną się z każdej matni jak zwinne jaszczurki... ty, bańko próżna, przy ladajakiej zmianie wiatru — pęknieś!

Parteniusz w odpowiedź na rzuconą mu obelgę ukląkł znowu, a gdy powstawszy odchodził, Domicjan szerokie plecy jego ściagał wzrokiem pełnym pogardy. Znowu samotnym znalazłszy się usiadł w poręczowym krześle i bladą twarz podniósł ku niebu, które nad kolumnami perystylu zachodziło już lekką mgłą zmroku. W ogromnym pałacu i otaczających go podwórcach i ogrodach cisza panowała głęboka i niezmacona, tylko z oddali, z oddali dochodził tu niby szum dalekiego wiatru gwar wielkiej i ludnej stolicy. Co tam... w tym szumie? Westchnienie ku lecącym już może znad Renu zbuntowanym chorągwiom Saturninusa? Tłumione jeszcze, lecz już szemrzące wspomnienia gorzkie, urazy krwawe, żądze powrotu świetnej przeszłości, nadzieje przyszłości lepszej? O! co tam w tym gwarze stolicy uśmiecha się zradnie, spodziewa się okrutnie, marzy krwawo, co tam woła, szumi, krzyczy?... a wszystkie te zdrady, nadzieje, marzenia, krzyki, jak piana bezdenne morza ze straszną burzą dobywającą się z głębin biją o ściany tego pałacu! A w ścianach tych?... Tam w odległych komnatach Cesarzowej znowu nienawiść, kłamstwo, zdrada, zemsta...

Z piersi Domicjana wybuchnęło ogromne westchnienie. Spójrzył na karła swego. Dziecię usnęło na ziemi, z głową na podnóżku złotymi włosami usiewając marmur podłogi. Gdzież jest ta pierś, na której pan świata złożyć może swą głowę z ufnością i rozkoszą? Gdzie jest to ucho, w które przeleje on gorycze i strachy swej piersi? Gdzie są te usta, które mu wyszepcą radę przyjazną i mądrą lub z ust jego spijają żółć i ocet pocałunkiem szczerym i miłośnym?

W bezbrzeżnej samotności swej, w jeleniej swej bojaźni i pionowej wzdardzie dla wszystkich, których sługami i przyjaciółmi swymi mienił, Domicjan znowu myślał o Oktawianie i Liwii, a przed oczami jego mignęła nieraz już choć z dala widywana postać kobieca. Posągowa postać jej w starożytną prostotę przyobleczona, boleśny wyraz ognistych jej ust, cudowne kształty skromnie okryte, lecz ukryć się nie mogące w fałdach śnieżnej stoli... sława najczystszej kobiety Rzymu...

— Na Minerwę! Dumna westalka ta mogłaby sprościć Liwii!... Czemuście jej mnie nie dali, bogowie? Ale czy Liwią mądrą i nieskazitelną, czy też Popeą zmysły czarującą jest ta nieprzyjaciółka moja, boskie jej oczy spotkać się muszą z bliska z wszechmocnym wzrokiem Domicjana!

[Koniec rozdziału]